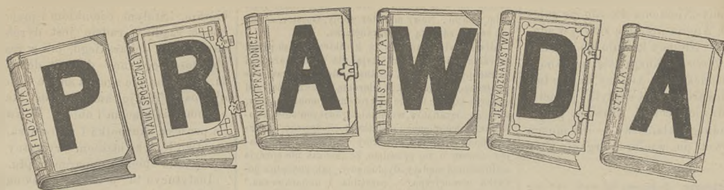
Nr. 43. Warszawa, dnia 12 (24) Października 1896 r. Rok XVI.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

GNIEWY ANGIELSKIE.

Rok nowy, który niedługo starym już będzie, źle się był zaczął dla stosunków angielskich. Telegram cesarza Wilhelma do prezydenta Krügera podrażnił Anglię tak, że dotychczas serce jej jeszcze od gniewu dygoce. Słowa współczucia, politycznie wcale zresztą niepotrzebne i żadnym zgoła czynem nie poparte, usposobiły panów od bawełny, araku i opium tak nieprzyjaźnie, że im dziś wszystko szkodzi, co z Niemiec nie wyjdzie jako pochwała Anglii. Dzienniki i meetingi angielskie pozwoliły sobie po owem zuchwalstwie noworocznem nieprzyzwoitymi wyrazami strofować monarchę niemieckiego, grozić mu wielkiemi politycznemi szkodami, traktować cały naród niemiecki, jak wroga Albionu. Marna pociecha, posłana wziętej już na cel ofierze przemocy i podstępu angielskiego—obudziła między obu narodami papierową wprawdzie tylko wojnę, ale i taka dla dyplomacyi obu rządów musiała się stać niedogodną. Opinia w Anglii znalazła się w stanie nietrzeźwym. Nawet cesarz Wilhelm okazał się dość rozważnym na to, aby w tym roku babki swej wcale nie odwiedzać — i nie pojechał do Osborne. To znowu było dmuchnięciem na ogień. Czas sypał górę nienawiści.

W sierpniu miało się znów wydarzyć coś równoważnego z telegramem do prezydenta Rzeczypospolitej Transwalskiej. D. 25 z. m. zmarł sułtan Zanzibaru, faworyt angielski, osadzony na słomianym tronie po Said-Bargaszu, jakiś charłak. Spadkobiercą jego praw był raz już od spadku odsunięty, Said-ben-Chalid, dwudziestoczteroletni młodzieniec, zdrów i dzielny. Sięgnął też po władzę, oparł się na Arabach i przez całą dobę sułtanił, dopóki słynny p. Portal, czy może już jego następca, nie przygotował bombardowania. D. 27-go zrana miał już działa nabite, a w południe część pałacu sułtańskiego w gruzach. Chalid bronił się, póki mógł; gdy już los zdmuchnął mu ostatnie światełko, młodzieniec znalazł schronienie w konsulacie niemieckim; gdyby wpadł był w ręce angielskie, wywieziono by go gdzie na Bermudy i trzymano jak jeńca. Niemcy radzi byli pośpieszyć z ludzkością, bo naprzód Zanzibar, tak blizko ich kolonij, im dopieka, a potem mogli wziąć odwet za noworoczną wściekliznę. Zbieg musiał w konsulacie czekać przez wrzesień na szczęśliwy przypływ morza i dopiero w samym początku października statek niemiecki przeniósł go na terytoryum niemieckie do Dar-es-Salamu, gdzie jest już bezpiecznym.

W Londynie zaraz po 27 sierpnia krzyknięto na niegodziwość. Oczywiście, w tej etyce, którą wyznaje Anglia i nie-Anglia, cnotą jest korzyść, niegodziwością—szkoda, charakterem—pazur. Cywilizacya i oświata, pewna subtelność w dotyku, jaką się im zawdzięcza, martwieją, gdy się głodny zwierz, interes, rozsroży. Niemcy go rozjuszyły: to prawda; ale nawet dzika bestya mogła pomiędzy przytulenie ściganego zbiega a napaść ohydną na cały kraj, zmowę zbrojną na jego byt polityczny, pomiędzy Chalida a Jamesona, wprowadzić jakieś jasne *distinguo.* I byłoby tak, gdyby opinia w Anglii, jak wszędzie zresztą, nie znajdowała się w upadku, gdyby rozum opierał się na mądrości, publicystyka na rozumie, dziennikarstwo wreszcie na publicystyce — zamiast na reporteryi. Najpłytszym, najszkodliwszym—a najpoczytniejszym jest zawsze *Times:* prawdziwy Ingo opinii politycznej narodu angielskiego. Zachowawca wstrętny w polityce wewnętrznej, jest on w zewnętrznej drapieżcą i kuglarzem eskamotującym pobudki czynów: połyka wstążki i węże, gdy potrzeba coś ukryć, z czarnego umie zrobić biało, a z pustego pełne. Prastary wróg ludzkości, fałsz, gdyby go już z dziennikarstwa wygnano, jeszczeby znalazł łaskawy chleb u *Timesa.*

O Chalida odbywa się teraz pomiędzy obu narodami olbrzymi pojedynek na pióra — w części i na rozumy, których mniej przecież, niż piór na świecie. Niemcy zarzucają Anglikom zaborczość, i wstrętniejszą od niej żądzę zmonopolizowania praw swych do mórz i lądów działami cywilizacyi jeszcze niebronionych. Musieli Niemcy brać — tłómaczą się w Berlinie— gdy Anglia brała coraz więcej. Rozszarpanie Afryki między Europę było już w r. 1884 na konferencyi w Kongo postanowione. Niemcy, co wzięli, to i trzymają— mieliż z założonemi rękoma patrzeć jak się tuczą koloniami Anglicy? I mają słuszność. Na tym najlepszym ze światów kto chce żyć, musi bić, brać musi, aby jego samego nie zabrano. A Anglia brać umie. Obszary jej kolonialne przewyższają wielokrotnie kolonie wszystkich państw i państewek świata. Jeżeli czego, to przynajmniej chciwości nie mają prawa ci nienasyceni przemysłowcy i handlarze wytykać nikomu, a najmniej Niemcom, którzy ostatni już przyszli na biesiadę i zgarnęli

resztki. Mogło się dziennikarstwo niemieckie słusznie oburzyć; wykazało też, że Anglia od r. 1884 pochłonęła 45,000 mil kwadr., kiedy Niemcom dostało się zaledwie 15,000; Anglia już była zatyłą w zdobyczy, kiedy Niemcy karmić się dopiero zaczynały. *Times*, odcinając się, przyznaje liczebny stosunek, ale—Anglicy, biorąc tak tak dużo, obwarowywali się tylko przeciw żarłoczności niemieckiej. Równie gminnego, paskudnego kłamstwa — nie można się było nawet po wielkim organie City spodziewać.

Tydzień polityczny. Sułtan wydał *irade*, nakazujące w całem państwie wprowadzić reformy, nadane w r. z. sześciu wilajetom Anatolii — a do tej chwili mające wartość papieru, na którym je napisano. Przez wrzesień i część sierpnia Kurdowie mordowali po dawnemu; padło tysiąc kilkaset ofiar. Z Konstantynopola Ormian wypędzać nie przestają. W Aleksandrecie syryjskim wzburzyli się redyfy. Sułtan myśli o zmianie następstwa tronu; chce najukochańszego ze swych niezliczonych synów ożenić — z księżniczką Aldegundą bawarską i zdać mu władzę — po śmierci. Do krwi i zgnilizny brakło jeszcze śmiechu — i on już teraz jest. Stany Zjednoczone zamierzały wpłynąć na Dardanele, ale wobec oporu żądania urzędowego się zrzekły. Mocarstwa chcą jakoby i Dardanele i Bosfor dla wszystkich otworzyć. Minister angielski, Hicks-Beach w Darlingtonie upomina się energicznie o reformy. Gdy Rosya wspólnie z Niemcami i Austro-Węgrami podtrzymuje *status quo*, Anglia nie będzie szła osobno. Robi już coś, ale co? — nie czas jeszcze mówić. Dzienniki donoszą o nowej „akcyi"; rozpoczną ją Anglia, Francya i Włochy, którym medyolański „Secolo" ponownie radzi oderwać się nareszcie od trójprzymierza. Tymczasem Turcya gnije coraz głębiej. Papiery jej gwałtownie spadają; giełdy dopomagają dyplomacyi. Ruch wielko-handlowy w Konstantynopolu ustał. Niewątpliwie maczają w tem rękę Ormianie.

P. Curzon, podsekretarz parlamentarny w Westminsterze, w Glasgowie oświadczył, że flaga angielska musi powiewać z murów Chartumu—nareszcie. A każdy człowiek rozsądny od początku wiedział, dokąd dąży Kitchener-basza, dążąc niby tylko do Dongoli. Włochom chcą Anglicy dopomódz w Kassali. Rząd angielski wypiera się apetytu na tę wawrownię. Włosi posyłają wojska, aby utrzymać garnizony; stają tylko obronnie. Menelik dał msgr. Macario kilku jeńców z uprzejmości dla papieża; ale setki zatrzymał, dopóki Włosi nie podpiszą pokoju. Sama wyprawa do Sudanu, prowadzona już za pieniądze angielskie, nic nowego nie przyniosła.

W Hiszpanii rząd ma znowu socyalistów — i wierzycieli, którym grozi niewypłacenie kuponu.

W Niemczech książę kanclerz wniósł nareszcie na radę Związku projekt reformy procedury i organizacyi sądów wojskowych. Postępowanie odtąd będzie jawne — w zasadzie. Musiał więc cesarz Wilhelm ustąpić. Nowy minister wojny, Gossler, zastał już zasadę zdobytą przez kanclerza.

Ministrowie francuscy z krótkiego czasu przed zebraniem się Izb korzystają dla dania narodowi potrzebnych nauk. P. Barthou, minister spraw wewnętrznych, d. 16 b. m. w Oloronie zapewnił, że rząd szczerze kochać będzie nawróconych monarchistów, a ścigać socyalistów, wszelakich rewizyonistów, zwolenników potępionego podatku dochodowego, wreszcie popierać łagodne reformy społeczne, pamiętając zawsze o tej prawdzie, że „nic tak nie sprzyja usiłowaniom mądrej dyplomacyi, jak rozsądna polityka wewnętrzna, — rozsądna i umiarkowana." Ze stronnictwa demokratycznego nagorliwiej zabiegał krasomówstwem przez letnie wczasy—były prezes rządu, Bourgeois.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

USPOŁECZNIENIE HYGIENY.

Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło przed paru miesiącami ustawę „Towarzystwa walki z chorobami zakaźnemi." Związek ten ma na celu głównie ochronę ludności wiejskiej za pomocą stosowania środków zapobiegawczych lub innych radykalnych w celu usunięcia choroby już panującej. Wreszcie jednym z ważniejszych sposobów ma być także popularyzacya hygieny. Prócz tego Towarzystwo będzie przysposabiać i organizować personel zdrowotny, urządzać lecznice i szpitale, stosować środki odosobniania, szczególnie w szkołach, szerzyć wydawnictwa przystępne w zakresie hygieny, wygłaszać odczyty publiczne itd. Może ono zakładać filie w różnych miejscowościach państwa. Członkowie, jak zwykle w takich instytucyach, dzielą się na honorowych, założycieli, popierających i współpracowników (członków czynnych). Składka roczna wynosi rs. 5. Sprawami Towarzystwa zarządza zebranie ogólne członków tudzież rada, składająca się z dziesięciu członków, powoływanych przez zebranie ogólne. Co rok skład rady opuszcza trzech członków, którzy wszakże mogą być powtórnie wybierani. Stałym członkiem i przedstawicielem rządu w radzie jest dyrektor departamentu lekarskiego, lub w razie nieobecności jego inny delegat departamentu. Jeżeli on nie zgadza się na wnioski rady, rozstrzyga je sam minister. Rada jest ciałem działającem i obiera ze swego łona prezesa, skarbnika i sekretarza. Towarzystwo jest związkiem prywatnym, lecz korzysta z opieki i poparcia rządu.

Instytucya ta, o której u nas nawet pisma specyalne hygieniczne, jak *Zdrowie*, wzmiankowały tylko pobieżnie, zasługuje na baczną uwagę, ze względu na doniosłe znaczenie społeczne. Jest to pierwsza w tej formie organizacya zdrowotna, której działalność przekracza ramy dotychczasowych stałych i przygodnych komitetów sanitarnych, wciąga bowiem do pracy solidarnej zapobiegawczej cały ogół, gdyż ustawa nie ogranicza członków, ani liczbą, ani stanowiskiem. Każdy, kto wniesie pięć rubli składki rocznej, jest uczestnikiem Towarzystwa i poczuwa się do obowiązku współdziałania około naprawy warunków zdrowotnych.

Ażeby uprzytomnić sobie, jak wielkie zadanie ma ta nowa instytucya i na jakim gruncie pracę rozpocznie, musimy pamiętać o obecnym stanie środków ratunkowych w zakresie sanitarnym, tudzież o tem, jak słabo masy ciemne i oświecone są zdolne do przyjęcia ratunku, wreszcie, jak mało są uświadomione w poczuciu potrzeby obrony zdrowotnej. Mamy właśnie pod ręką najświeższe urzędowe dane w tym zakresie. Wykazują one przedewszystkiem dotkliwy brak lekarzy, lecznic i szpitali. Np. w guberniach Zachodnich na jednego lekarza przypada od 57,000 (gub. Mohylowska) do 116,000 (gub. Kijowska) mieszkańców, oraz od 1,722 (gub. Kijowska) do 4,453 (Mińska) wiorst kwadratowych. Gdy tymczasem w guberniach ziemskich praktyka dowiodła, że jaka taka pomoc może być widoczną dopiero wtedy, gdy jeden lekarz przypada przynajmniej na

Jan Henryk Mackay.

Naraz przypomniał sobie.

Nareszcie był sam.

Wolny od żony, od córki, od zajęć.

Żona jego umarła, córkę wydał daleko za mąż, a mienie swe sprzedał i miał dość pieniędzy aż do końca życia.

Oto jak spędzał czas: wstawał później, niż zwykle i ubierał się szybko. Po śniadaniu coś zwiedzał: wystawę, muzeum, albo pił szklankę piwa na moście poczdamskim. Po obiedzie drzemka. Potem trochę czytał albo pisał, a gdy noc zapadła, bardzo regularnie siadał do gry w karty...

Godziny szły mu leniwie. Teraz mając czas, myślał o tylu rzeczach, które nigdy przedtem go nie obchodziły.

I tak obudziła się w nim wielka żądza serdeczności i czułości, których nigdy w życiu nie doznał i których, jak przypominał sobie, i dawniej, chociaż ukradkowo, zawsze pragnął.

Nie znalazł ich w domu rodziców. Ci napół ogłuszeni troskami o byt, wiecznie kłócili się.

U siostr i braci? Była to trzoda dzieciaków, nieustannie spierających się o najlepszy kąsek i najcieplejsze miejsce.

Za czasów szkolnych? Nauczyciel był człowiekiem surowym i chłodnym, mówiącym tylko tyle, ile było potrzeba.

A pierwsza miłość? Pamiętał ją jako poryw ognisty, który trwał długo, całe lata, ale poryw, nic więcej.

Nareszcie żona i dziecko. Lecz żona miała naturę chłodną i obojętną, na pozór ujmującą, w istocie zupełnie sobkowską i wyposażoną bogato złośliwością. Dręczyła go, ile sił miała, dziecko zaś utresowała zawczasu do stawania przeciw ojcu. A ono, czy nigdy nie lgnęło do niego? Tak, czasami. Skoro potrzebowało czegoś, siadało mu na kolanach i wspinało się aż do ust ojcu, tak, że ostatecznie wolałby, aby wcale nie było przyszło.

Może osoby znajome i częściej z nim obcujące lubiły go bardzo? Również nie.

Teraz żona jego umarła i — nie krył tego przed sobą — czuł wielką ulgę na sercu. Córce kupił męża, jakiego sobie wybrała i wyposażył ją jak najsowiciej. Dla kogo miał zajmować się sprawami? Więc umył ręce od nich, a że zawsze żył bez osobliwszych wymagań, osądził, iż ma dość majątku, aby ostatnie dnie zabić. Żył tedy pogrążony w zupełnym spokoju i w wypoczynku prawie nużącym.

* *

W długich godzinach ciszy obracał jedną za drugą kartki swego życia. Podczas tych zajęć archiwisty zdał sobie nareszcie sprawę z tego, co mu brakowało.

I owładnął nim wielki niepokój ludzi, którzy zamknąwszy drzwi za sobą, chcieliby naraz pochwycić to, co im uszło, a nie wiedzą, jaką drogą biedz. Zasmucony wciąż wracał ku przeszłości: pod wpływem lat coś musiało zostać, odgrzebalne może, coś tak przeniknięte jeszcze dostatecznie wonią, że mogło uprzyjemnić chwile późniejsze. Szukał, szukał i nic nie znajdował.

Było to w pierwszych pięknych dniach roku. Pieszczoty słońca prześlizgiwały się przez szyby, każąc przeczuwać, jak potężne będą potem.

Siedział przerzucając stare papiery, gdy w tem znalazł między kartkami dawnej notatki uwiadomienie pocztowe, odnoszące się do straty, spowodowanej jego nieoględnością i nagle przypomniał sobie:

Liczył wtedy dwadzieścia pięć lat i przy-

20,000—30,000 mieszkańców i 900—1,200 wiorst kwadratowych i jeżeli mieszka w punkcie środkowym zaludnienia. Gdyby taki stosunek, nie mówimy — wystarczający, lecz znośny, zastosowano do gubernij Zachodnich, należałoby każdy powiat zaopatrzyć w 4—5-ciu lekarzy wiejskich; przytem odpowiednio zwiększyć liczbę lecznic. „Taką reformę — jak głosi sprawozdanie urzędowe — z ogromną korzyścią społeczną można byłoby osiągnąć bez znacznego zwiększenia wydatków w pozycyi rozchodów pomocy lekarskiej wiejskiej i bez obarczania ludności nowymi podatkami, gdyby uznano za rzecz możliwą zwiększyć liczbę lekarzy kosztem zmniejszenia liczby felczerów." Przy obecnej organizacyi w większej części gubernij Zachodnich na jednego lekarza wiejskiego przypada 5—6 felczerów tak zwanych „punktowych." Oczywiście przy takim stosunku niemożliwy jest dokładny dozór nad nimi. To też dzięki owym warunkom, prowadzą oni jak lekarze, a nawet czynniej, praktykę samodzielną.

Nie chodzi nam wszakże o szczegółowe wykazywanie braków w tej mierze, bo już nieraz o nich się mówiło. Podaliśmy przykład bardzo znamienny, który dowodzi, że przy takim personelu i odporności ludu na wszelkie środki hygieniczne skuteczne walka z epidemią jest niemożliwą. Stwierdza to poniekąd i sprawozdanie urzędowe, z którego powyższe szczegóły zaczerpnęliśmy. „Walka jest rozmaicie prowadzona (siłami pojedyńczemi) i tylko w razie przejścia jakiej choroby w stan epidemiczny są organizowane „środki czasowe..“ Jak są słabe takie środki, mieliśmy wymowny przykład podczas cholery. Stwierdził to także dr. Tchórznicki w swem dziełku p. t. „Zdrowie ludu," gdzie wykazuje wrogie zachowanie się ludności ciemnej względem wykonawców środków hygienicznych.

Niechlujstwo, którego dotychczas nie potrafiono niczem zwalczyć, tkwi głęboko w usposobieniu i nawyknieniach całych mas ludności, idzie w parze z nędzą i przesądami. Oczywiście nędza i niedostatek są największymi wrogami hygieny, których nie mogą pokonać żadne środki moralne, tembardziej, że zjawiska owe są nierozerwalną częścią ogólnych urządzeń bytu. Ale to jeszcze nie wyklucza możności walczenia z niezdrowiem powszechnem za pomocą właśnie takich środków moralnych w połączeniu z szeregiem organizacyj sanitarnych. Z naszych wsi brudnych, cuchnących zgnilizną zastałej wody, nawozu i różnych odpadków organicznych, rozkładających się na ulicach i w chatach, nie można zrobić szybko i niezależnie od innych warunków wymarzonej wioski Glogera (patrz „Skarbiec strzechy naszej" „Popas w Sławopolu"), ale można chociaż trochę w niektórych szczegółach zbliżyć je do tego ideału. Przed kilku miesiącami przejeżdżając przypadkowo przez okolicę nieznaną, trafiliśmy do wsi (Leszno, pow. Nowogródzki), która nas uderzyła swoją czystością zewnętrzną: na ulicach zmiecono wszelkie odpadki z ziemią, jako nawóz, ściany domów, nawet zewnątrz — wymyte. Lud ubrany schludnie. Zjawisko to tak rzadkie, że utkwiło nam głęboko w pamięci. Dowodzi ono, że czystość daje się zaszczepić zwyczajowo do życia codziennego i przekazywać tradycyjnie.

To właśnie powinno być jednem z zadań Towarzystwa walki z chorobami zakaźnemi. Posiada ono przywilej rozsiewania nowych filij w różnych miejscowościach, bez ograniczenia liczby i ognisk. Otóż wszelka zwłoka z założeniem takich filij u nas jest krzywdą niepowetowaną. Tymczasem i większość pism i społeczeństwo nie wie o zatwierdzeniu nowej instytucyi, więc i zabiegów jednostek energiczniejszych oczekiwać nie możemy. Towarzystwo walki z chorobami zakaźnemi powołuje do współudziału, jak widzimy z ustawy, całe społeczeństwo oświecone, czyli dąży do uspołecznienia hygieny. Przedewszystkiem ma ono na celu zadanie specyalne: przygotowywanie personelu sanitarnego, urządzenie lecznic i szpitalów. Jest to warunek niezmiernie ważny i dość nad nim trochę się zastanowić, ażeby ocenić zakres tych zabiegów. Podaliśmy, jako przykład, miejscowości i cyfry, świadczące o słabej pomocy lekarskiej. Otóż zadaniem Towarzystwa powinno być zbieranie różnemi drogami możliwie najdokładniejszych szczegółów w obrębie jego działalności o stanie szpitalnictwa i pomocy lekarskiej w danych miejscowościach, o warunkach pracy lekarzy, o sile i przewadze felczerskiej, o potrzebie szpitalów, lecznic i źródłach środków, umożliwiających otwieranie tych zakładów. Ponieważ Towarzystwo będzie rekrutowało członków nietylko śród lekarzy, lecz wogóle ludzi oświeconych, więc tem łatwiej można za ich pośrednictwem zdobyć rzetelne informacye, zawiadamiać młodych lekarzy o istotnych warunach praktyki w danej okolicy, co dzisiaj nie zawsze można osięgnąć wobec interesowności aptekarzów, którzy przeważnie są pośrednikami w danych wypadkach.

Towarzystwo, naszem zdaniem, powinno dążyć do zobrazowania możliwie najdokładniejszych warunków zdrowotnych. Jest to działalność nadzwyczaj szeroka, gdyż potrąca o dziedzinę i ekonomiczną, i społeczną, i duchową ludności. Przystępując do przeciwdziałania klęskom, trzeba wiedzieć, jakie one straty wyrządzają, a wiadomo przecież, że od warunków zdrowotnych zależy dobrobyt społeczeństwa; organizacya zatem nie może być jednostronną w swojej pracy, jeżeli chcemy, ażeby jej działalność była owocną, zwłaszcza, że musi ona być oparta na gruncie materyalnym. Przejrzyjmy np. uważnie statystykę sanitarną, a przekonamy się, w jakim ona bliskim stosunku pozostaje z bytem ekonomicznym. Oto rubryki śmiertelności i urodzeń z r. 1892 wykazują, że nieurodzaje z dwu lat poprzednich znacznie zwiększyły skłonność mas do chorób i śmierci. W pierwszej połowie r. 1891 w guberniach położonych nad dolną i środkową częścią Wołgi, tudzież jej dopływów, uporczywie szerzył się tyfus wysypkowy; następnie w drugiej połowie tego roku osłabiona ludność poddała się cholerze azyatyckiej, która najbardziej

---

jechał do Lipska na tydzień w interesie—kończył się już karnawał, dawano ostatnie bale, na jednym z nich, w Pałacu Kryształowym miał spotkać się z pewnym znajomym.

Lecz ten nie przybył, a on kręcił się znudzony pośród tłumów, gdy nareszcie znalazłszy wolny stół, począł pić przy nim szklankę za szklanką piwa, zapytując się w przerwach, czy ma wrócić na noc do hotelu, czy tu zostać.

W tej chwili delikatna dziewczynka, siadłszy u jego stołu, rozwiązała pytanie, które go dręczyło.

Podobali się sobie i po pięciu dniach, kiedy miał wyjeżdżać, sprawy jego tak mało posunęły się naprzód, że musiał jeszcze pięć dni pozostać.

Lecz i po tym przeciągu czasu rzecz nie była skończona; nie mógł jednak dłużej zabawić i wyjechał.

Ta dziewczyna spowodowała stratę pieniężną, którą przypomniała mu karetka pocztowa po czterdziestu latach.

I nagle spostrzegł, że raz w swojem życiu był szczęśliwym, raz jedyny, nie więcej, ale był nim.

Chodził wzdłuż i wpoprzek, a niepokój jego wzrastał. Ciężar przygniatał go, czuł potrzebę uwolnienia się od niego. W duszy zaś było pusto i coraz nieznośniej. Mógł wyjść, ale dokąd? W kasynie za kilka godzin dopiero zacznie się życie. Znajomi wszyscy teraz zajęci. Usiadł przy biurku i wsparł się łokciami o papiery. Powoli czoło pochylało się.

Nie, zanadto smutno było żyć tak samemu!

Niepokój ogarnął go znowu. Naraz wstał. Zdawało mu się, że słyszy śmiech jej, śmiech słodki i melodyjny, którego nigdzie nie odnalazł przez tyle lat, prawdziwie jej śmiech. Podskoczył.

Rozmyślał, zastanawiał się. Potem zaczął biegać po pokojach, szukając na prawo i na lewo walizy i nieco rzeczy potrzebnych na kilka dni. W pół godziny był gotów, zamknął mieszkanie, przybił na drzwiach kartkę: „Nieobecny" i zeszedł po schodach. Przywoławszy dorożkę, kazał wieźć się na dworzec.

Usiadł natychmiast w jednej z przedziałek pociągu. Swoim śmiechem ona wołała go, a on przybywał.

Wieczorem był w Lipsku. Przez całą drogę twarz jego miała dziwny wyraz; jechał jak na powitanie narzeczonej, z drżeniem niecierpliwości i niezmiernem pragnieniem szczęścia, rozgorączkowanem jeszcze wskutek niepewności.

Późno już było, jednak wyszedł z hotelu położonego na Ringu. Noc ciemna, ale ciepła. Zaczął szukać dzielnicy Brühla. Przypomniał sobie, że należało tylko wejść w boczną ulicę i znalazł się wnet u celu. Tam odnowił znajomość ze starym Lipskiem, zawsze tym samym o wysokich starych domach, gdzie aż do piątego piętra wszystko warzy interesy. Przeszedł drogę wolnym krokiem i nieustannie myślał o jednej rzeczy: jutro! jutro!

Szukał piwiarni, nie ze zmęczenia, bo czuł się dobrze i nie kłopotała go także nadciągająca północ. Znalazłszy ją, zapalił z przyjemnością cygaro i rzuciwszy zadowolone wejrzenie na starą salę, do której wszedł, podzieloną przepierzeniami na szereg oddziałów, każdy z długim stołem, zażądał piwa. Radość jakaś przenikała go, chciał nią podzielić się z kimś i zaczął pogadankę najpierw z kelnerem, a potem z grubym panem, który zasiadł do tego samego, co on, stołu; tak przez całą godzinę.

Spał doskonale w dobrem łóżku czystego hotelu. Ostatnie myśli przed snem pokazały mu jej obraz. (D. n.)

Tłóm. z niem. *W. Bugiel.*

się rozwinęła w posiadłościach środkowo-azyatyckich, na Kaukazie, nad Wołgą i Donem. Skutkiem nieurodzaju, tyfusu i cholery śmiertelność przerosła cyfrę średnią za okres 1883—1891 o 5,5 ludzi na tysiąc. Urodzenia w latach nieurodzajów zmniejszają się, jak stwierdza statystyka. Jakoż r. 1892 cyfra urodzeń była mniejsza o 4,0 na tysiąc w stosunku do przeciętnej z okresu 1883—1891. Wogóle zaś w całej Rosyi europejskiej zmniejszyła się o 5,1, w stosunku do przeciętnej z dwudziestolecia. Na znacznej przestrzeni, zwłaszcza dotkniętej głodem i epidemiami, śmiertelność przewyższyła cyfrę urodzeń. Walka z cholerą tylko w ciągu jednego roku 1892 pochłonęła w całem państwie 50 milionów rubli, a nikt nie zliczy tych setek milionów strat, wynikłych ze zmniejszenia się produkcyjności pracy skutkiem epidemii.

Towarzystwo walki z chorobami zaraźliwemi ma tedy wielkie zadanie nietylko hygieniczne, lecz i społeczno-ekonomiczne. Przy należytym rozwoju i owocności pracy może ono się przyczynić środkami zapobiegawczymi do zaoszczędzenia milionów, które pochłania epidemia pod postacią kosztów ratunku i zmniejszania się produkcyjności społeczeństwa. Działalność wszakże takiej instytucyi powinna być nietylko praktyczna i moralna, lecz i naukowa. Pierwsze dwie rozpostarte na szerokich przestrzeniach śród mas, druga —ześrodkowana śród garstki, posiłkującej się informacyami całych rzesz członków. Oczywiście musi być w takim razie zachowany odpowiedni podział pracy.

Jeżeli ta instytucya z czasem się rozwinie na szerokich przestrzeniach państwa, rozsiądzie się we wszystkich zbiorowiskach życia ludzkiego w postaci filij, będzie działać za pomocą wielotysięcznej rzeszy członków, to oczywiście powinna i swój program wraz z tytułem rozszerzyć, tj. walczyć nietylko z chorobami zakaźnemi, lecz wogóle — z niezdrowiem.

Tylko przy takim zsolidaryzowaniu się oświeconego społeczeństwa na gruncie hygieny może się w niem zrodzić i utrwalić poczucie samoobrony wobec chorób i zniedołężnienia fizycznego: tylko wtedy będą zbyteczne kosztowne „zarządzenia czasowe,“ gorączkowo i bezsilne. Społeczeństwo samo siebie będzie kontrolowało, moralnie pobudzało do czystości i baczności, uświadamiało—za pomocą środków w programie Towarzystwa wskazanych — ludność ciemną w poczuciu wzmocnienia zdrowotnego. Hygiena wtedy będzie w całem znaczeniu uspołeczniona. Ale chcąc dojść do tego, trzeba przedewszystkiem, ażeby najświatlejsi i najruchliwsi śród ogółu odczuli szczerze znaczenie Towarzystwa walki z chorobami i zajęli się jego organizacyą.

Z GALICYI

Powinienbym poświęcić mój list dzisiejszy sprawie rezygnacyi ze stanowiska prezesa Koła w Wiedniu, nieśmiertelnego Filipa—Zaleskiego. Nie uczynię wszakże tego, bo wiadomość ta dojdzie czytelników drogą telegramów. Na ocenienie zaś działalności politycznej Zaleskiego mamy dosyć czasu przed sobą. Zauważyć tylko należy, że był on na stanowisku prezesa Koła — urzędnikiem austryackim. Z tego źródła płynęły jego wady i błędy. Rolę reprezentanta konstytucyjnego zamienił dobrowolnie na rolę pionka, posuwanego obcą ręką. Stąd też sam zaznał dużo goryczy i nikogo, oprócz większości posłów, zadowolonych zwykle ze wszystkiego, nie zadowolił. Nie w tem bynajmniej jego wina, że popierał gabinet hr. Kaz. Badeniego, ale że stał na uboczu interesów i potrzeb kraju, że ich nie rozumiał, lecz bronił natomiast interesów i reprezentacyj kastowych.

Teraz zanosi się na reorganizacyę Koła, a może nawet na utworzenie dwóch kół; jak się jednak te stosunki ułożą, najbliższa przyszłość pokaże. Mówią nawet o rozwiązaniu parlamentu na wypadek — życzeń hr. Badeniego.

Pozostawiając na uboczu te wszystkie mniej lub więcej sensacyjne nowiny, przechodzę do bliżej nas interesujących spraw krajowych.

W poprzednim liście wspomniałem o ruchu śród duchowieństwa, o ile wyraził się udziałem oo. jezuitów. Na tem on bynajmniej nie ograniczył się. Zarówno wiec lwowski, jak i przemyski tego dowodzą. O lwowskim pisałem, o przemyskim wspomniałem tylko dlatego, że uchwały jego były do pewnego czasu trzymane w tajemnicy. Dziś już tajemnicą nie są, a prawdę powiedziawszy — nie było po co chować ich pod korcem.

Pominąwszy uchwały i referaty, że tak powiem, fachowe, jak np. „O potrzebie i środkach podniesienia u kapłanów ducha kapłańskiego i powagi na zewnątrz“ ks. Karola Fischera, przejdę odrazu do innych. Ks. Leon Pastor mówił „O sprawie ludowej“; ks. Antoni Koleński „O przyczynach obniżenia zaufania ludu do duchowieństwa,“ a ks. Roman Hanczakowski „W sprawie szkól, a przedewszystkiem ludowych.“ Już z pierwszego rzutu oka na tytuły referatów widać, jak głęboko „kwestya ludowa“ nurtuje śród duchowieństwa i jak ono pragnie sprawę podniesienia, uobywatelenia i oświecenia ludu zagarnąć w swoje ręce. Niewłaściwą tylko wydaje się owa propaganda, że tak powiem, na przebój, jak gdyby zachodziła potrzeba nawrócenia na katolicyzm tutejszego społeczeństwa, albo jak gdybyśmy byli krajem co najmniej pogańskim. Nikt nie może mieć za złe duchowieństwu katolickiemu, że chce być katolickiem, ale walka z wiatrakami na każdym kroku, przylepienie poświęcanych szyldzików na każdym bochenku chleba, zaprawianie sosem obłudy każdej pracy, klasyfikowanie wszystkich za życia jeszcze na potępionych i zbawionych, zaczyna budzić niesmak nawet pośród najgorliwszych ludzi.

Agitacya w imię katolicyzmu ma istotnie na celu zagarnięcie każdej dziedziny pracy publicznej pod sztandar religijny. Nie występuję bynajmniej przeciw religii, lecz przeciwko propagandzie jątrzącej ludzi, wnoszącej do społeczeństwa rozdwojenie — w imię jedności, nienawiść — w imię miłości.

Dążenie do ujęcia steru w swe ręce najlepiej może sformułował ks. Leon Pastor, wypowiadając zasadę, że duchowieństwo powinno być „wszystkiem dla wszystkich,“ stać po nad stronnictwami, a popierać dążenia *katolickie* bez względu na to, z jakiego obozu pochodzą. Śmiało powiedzieć można, że jest to bardzo niebezpieczna zasada, która popiera *barwę* a nie rzecz samą. Może też dlatego ks. Stojałowski ma za sobą dużo chłopów — dobrych katolików niezawodnie — którzy jednak nie chcą iść na wołania księży.

Krótko mówiąc, duchowieństwo tutejsze za dużo zajmuje się polityką ze szkodą religii i właściwego powołania i za dużo zakreśla koło pracy swojej i wpływowi. Zjazd przemyski uchwalił na wniosek ks. Ant. Koleńskiego, że „udział duchowieństwa w życiu publicznem z powołaniem kapłańskiem najzupełniej jest zgodny, a w czasach dzisiejszych dla dobra Kościoła i społeczeństwa jest potrzebny.“ Zanim postawiona została powyższa zasada, duchowieństwo w Galicyi — bez różnicy obrządków — rzuciło się na pole polityki tak gwałtownie i gorąco, że „kochani parafianie“ tracą na tem bezwarunkowo. Kto się z ludem zetknął, przekonał się łatwo, jaki to fatalny wpływ wywarło na moralny stosunek do księży. Osobiście zdarzało mi się znać plebanów na wsi, ludzi bardzo zacnych i prawych, ale zbyt zajętych gospodarstwem własnem i polityką, którzy nietylko nie zdołali zasłużyć na szacunek śród parafian, lecz przeciwnie, bywali przedmiotem najgrubszych żartów i wymówek na temat niezgodności powołania z pracą — że tak powiem — praktyczną.

Mając na uwadze politykę i agitacyę, duchowieństwo tutejsze przez usta ks. Pastora wyraźnie wzywa do popierania moralnego i materyalnego *Związku chłopskiego* z Nowego Sącza, a to dlatego, że jest to jedyne stronnictwo, które przyznaje się w programie swoim do zasad katolickich. *Ergo* — popierajmy je przez prenumeratę wydawanego pisma i zasilanie go pracami. Nawiasem mówiąc, związek ten jest czemś bardzo podobnem do pachołka stańczykowskiego.

Te same myśli dźwięczą w referacie ks. Romana Hanczakowskiego o szkołach ludowych. „Należy głosić i uczyć, że szkoła dla katolików musi mieć wybitny charakter katolicki,“ a że obecna tego charakteru nie ma, zatem celowi swojemu nie odpowiada.

Prawda, że szkoła nasza, osobliwie ludowa, pozostawia dużo do życzenia, że zadania swego nie spełnia należycie, nie dlatego wszakże, że jest za mało katolicka, lecz że kierunek jej i nauka potrzebują stanowczych ulepszeń. Za wiele zwracamy uwagi na stronę formalistyczną, a za mało na rezultaty. Szkoła na wsi powinna być największem ogniskiem światła, powinna skupiać koło siebie całą ludność — nie tylko młodzież, uczyć nietylko abecadła i lichego czytania. My wszakże dziś mamy szkoły — do rachunku tylko, nauczycieli — także często do rachunku. Nie przeczę, że dużo zakładów jest doskonałych, że żadna z poprzednich Rad szkolnych tak gorąco i wytrwale nie dążyła do ulepszeń, jak teraźniejsza, ale to wątpliwości nie ulega, że po za nauką religii dużo jeszcze pozostaje do zrobienia.

Zwiedziłem z ciekawości niejedną szkołę, bywałem obecny na lekcyach i na egzaminach, a wyniosłem to przekonanie, że większość ludowych ani nauką, ani charakterem nie odpowiada potrzebie. Szkoła nietylko nie jest moralnem ogniskiem we wsi, ale przeciwnie, staje się często osią niezgody między wójtem a nauczycielem, między nim a księdzem. Nauczyciel poziomem umysłowym niewiele się różni od gospodarzy rolnych całej wsi, a jeżeli zdoła nauczyć dzieci w ciągu czterech lub sześciu lat czytać i pisać — bardzo licho — to już zadanie swoje spełnił doskonale. Chłopak w szkółce ludowej umie na pamięć koligacye i polityczny rozwój domu Habsburgów, powtarzając jak papuga „sankcya pragmatyczna“ i „święte przymierze,“ ale po ukończeniu szkółki musi się uczyć od swego ojca tego, co on umie i jak umie, a co niezbędnie potrzebne do prowadzenia gospodarstwa i życia, tj. siać, orać, szczepić, bo o tem nic nie dowiedział się od profesora.

Przebrnąwszy szczęśliwie przez wszystkie „czytanki,“ nauczywszy się podpisywać własne nazwisko, kończy pomyślnie studya. Od tej chwili już mu wolno przez

cały rok paść bydło, wydzierać gniazda, rąbać w cudzym lesie drzewo (byle ostrożnie, tj. aby go leśniczy nie przyłapał) i spełniać rozmaite czynności gospodarstwa w domu. Już go nikt nie pociągnie do odpowiedzialności za to, że do szkoły nie chodzi. Nie potrzebuje czytać i pisać, bo go życie do tego nie nagli. Teraz następuje okres „oduczania się“ tego wszystkiego, co z płaczem i trudem w szkółce zdobywał. Zapominanie postępuje daleko szybciej, niż nauka, a jeżeli pomyślnie dochowa się do 21 roku życia i staje do wojska, figuruje tam jako analfabeta. Nie jest to wprawdzie zjawisko właściwe wyłącznie szkołom ludowym galicyjskim; spostrzeżono je we Francyi i Niemczech, nie w takiej wszakże rozciągłości, jak u nas, gdzie szkoła okazuje się prawie bezpłodnem marnowaniem czasu.

A jednak do tej szkoły nietylko przymus napędza ludzi, lecz idą do niej chłopcy zdolniejsi z własnego popędu, suchy ten pokarm żują przez długie lata, przez nędzę i chłód, przez wysiłek umysłowy i fizyczny, przedzierając się coraz dalej ku większemu ognisku. W masach już jest ta świadomość, że nauka potrzebna, że ona daje „więcej chleba.“

Nie każda gmina posiada własną szkołę, a nieraz dwie i trzy składają się na nią. Nawet w tych szczęśliwych okolicznościach, gdy w gminie jest własna szkoła, nie zawsze dzieci mają łatwą i dobrą komunikacyę, zważywszy, że rozrzucone są na dużej przestrzeni, a drogi wewnętrzne, szczególnie na Podolu, są błotniste i nie do przebycia dla osób dojrzałych nawet, nietylko dla dzieci. Wędrówka do szkoły w czas słotny lub zimowy naraża dzieci już sama przez się na rozmaite zaziębienia. Ale trudno, tego uniknąć niepodobna. W szkole galicyjskiej panuje jednak zwyczaj poprostu barbarzyński i dziwić się tylko należy, że Rada rozporządzeniem swojem nie zniosła go. Mam tu na myśli noszenie przez dzieci kałamarzy i atramentu do szkoły. Wprawdzie w szkole ludowej wiejskiej nauczyciel obowiązany zaopatrzyć dzieci w atrament, dzieje się to wszakże nader rzadko, a w mieście — nigdy. Można przeto widzieć setki ubogiej dziatwy, wędrującej z flaszeczkami w ręku, zziębłej, posiniałej, odmrażającej palce, walającej ubranie, książki, zeszyty. Czyż Rada szkolna nie skasuje raz na zawsze tego zwyczaju, tak uciążliwego dla rodziców i dzieci?

Kiedyśmy już o szkołach mówić zaczęli, godzi się wspomnieć jeszcze o jednym bardziej niezdrowym prądzie, nurtującym powoli, pocichu, ale bardzo niebezpiecznie społeczeństwo galicyjskie: jest to dążenie do ograniczenia wstępu ubogiej młodzieży do szkół średnich. Tendencya ta zaznaczyła się już wybitnie przed kilku laty w podniesieniu czesnego i umundurowaniu. Opłata w kwocie 40 złr., sprawienie munduru na zimę i lato, płaszcza i książek podwyższyła utrzymanie roczne ucznia o 80—100 złr. Zważywszy, że uboga młodzież utrzymywała się we Lwowie i Krakowie kosztem 10 złr. miesięcznie, a niekiedy jeszcze niżej, a w powiatowych miasteczkach koszt nie przeniósł nigdy 8 złr., łatwo się domyśleć, ilu chłopcom mundury i czesne zamknęły drogę do nauki. Uczyniono to świadomie. Chodziło o to, ażeby z jednej strony skierować młodzież do rzemiosła i zakładów fachowych, a z drugiej — usunąć z ławy szkolnej pauperyzm. Zbyteczny napływ ubogiej młodzieży do szkół średnich — mówił sprawozdawca z komisyi sejmowej — jest faktem charakterystycznym, wyróżniającym wybitnie nasze szkoły od innych prowincyj monarchii i innych krajów. Typ studenta, przymierającego z głodu, jest specyficzną własnością naszego kraju. Nie pragnienie oświaty zalewa nasze gimnazya frekwencyą, *przewyższającą potrzeby kraju*, ale niezadowolenie rodziców z własnego położenia, złudna nadzieja, że patent będzie dla dziecka tem panaceum, które je w przyszłości ochroni od gryzących trosk życia. Mylnem zaś zupełnie jest mniemanie, jakoby synowie włościańscy przyczyniali się przeważnie do przepełnienia średnich zakładów naukowych. Najliczniejszego zastępu dostarcza w nich ludność miejska i biedny rzemieślnik, wstydzący się rzemiosła a pragnący doczekać w synu kiedyś adwokata lub lekarza; lokaj, który marzy o tem, aby dziecko na pana wykierować, a przedewszystkiem kancelista i woźny, upatrują jedyne szczęście w stanowisku radcy.

Oto są ci zbrodniarze, którzy dzieci posyłają do szkół, a co ważniejsza, pragną dla nich lepszego stanowiska materyalnego, niż los im przeznaczył do dźwigania. Zamiast podać pomocną rękę tym wszystkim, którzy przez trud i nędzę dążą do światła, szanowny profesor uniwersytetu i sprawozdawca sejmowy nie waha się publicznie przemawiać za tem, ażeby przed nimi zamknąć drogę do nauki. Nie wychodź z tej kasty, w jakiej los ci pozwolił urodzić się—oto zdaje się być celem ostatecznym tego dążenia.

Wszystkie reformy w Galicyi skierowane zostały ku temu, ażeby dostęp do szkół średnich utrudnić. Oba typy szkół ludowych, niższy i wyższy, są tego rodzaju, że nie ma z nich przejścia do gimnazyum; dziecko po zmarnowaniu czterech lat na naukę, którą mogło zdobyć w ciągu jednego roku, musi przygotować się do egzaminu gimnazyalnego, a rodzice — opłacać profesorów.

Pomimo to wszystko wielu przebijało się z trudem do gimnazyum, bo świeciła im nadzieja otrzymania stypendyum, a przy jego pomocy przepchania się dalej. Ale i tu drogę przecięto. Niezmordowany sprawozdawca sejmowy, rektor i profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, sekretarz Akademii, człowiek uczony, historyk światły i pierwszorzędny, ale niezmordowany wojownik w sprawie zamknięcia szkół średnich, a zatem i uniwersytetów dla dzieci rodzin ubogich, zgasił ostatnią nadzieję biedakom. Postawił on w sejmie wniosek — nie znajduję odpowiedniej nazwy na niego — następujący: „Uznaje się za rzecz pożądaną, ze względu dobra publicznego, ażeby Wydział krajowy w szafunku stypendyów, uwzględniał uczniów uniwersytetu i szkoły politechnicznej, oraz szkół fachowych w wydatniejszej niż dotąd mierze.“ W ten sposób „rak pauperyzmu, gryzący nasze szkolnictwo,“ ma się zagoić. Może. Nie potrafię wszakże nigdy tego zrozumieć, po co mają służyć i komu mają być rozdawane w wyższych szkołach stypendya, skoro uboga młodzież usuniętą zostanie zupełnie ze szkół średnich, a zatem i z uniwersytetów, a większość stypendyów była zapisywaną przez miłośników oświaty wyłącznie dla młodzieży ubogiej.

Jest w tem chyba jakaś logika wyłącznie galicyjska.

Cho.

LIBERUM VETO.

O geniuszach ubogich i Bolesławie Biegasie.

Jeżeli nauka wynajdzie kiedykolwiek sposób dokładnego przeświecania głów niemowlęcych, rozpoznawania wartości ich mózgów i oceniania tej utajonej w nich siły, którą nazywamy duszą, to z pewnością ludzkość w rozmaitych ogniskach swego życia wzniesie olbrzymie wieże, na tych wieżach zawiesi ogromne dzwony, w które uderzać będzie, ile razy narodzi się jej jakiś nowy geniusz. A będzie to jedna z najuroczystszych chwil i najradośniejszych nowin, zapowie ona bowiem, że przyszedł na świat człowiek, który mu da wielkie prawdy, wielkie uczucia lub wielkie czyny. Dziś geniusz rodzi się zupełnie niepostrzeżony: czasem ojcowie i matki witają go czule jako dziecko pożądane, czasem przyjmują go gniewnie jako zbyteczne, czasem usycha w nędzy, czasem tonie w ustępie, czasem go świnie zjedzą. Ile tych potężnych dusz ocalało—wiemy, ale ile przed objawieniem się zginęło — nie mamy nawet przybliżonego wyobrażenia. Bo prędzej i łatwiej rozpoznajemy, który burak posiada najwyższą ilość cukru, który pies — najczujniejszy węch, który koń — najszybszą ścigłość, niż który człowiek—najdzielniejszy umysł. Rzeczywiście ludzkość w rozwoju swoim nieco postąpiła i pod tym względem. Podczas gdy dawniej oceniano wielkie jednostki dopiero po ich zgonie, lub u schyłku życia, lub w okresie ich dojrzałości, dziś zaczynamy już rozróżniać je i wynosić w młodym wieku. Wszakże już dziergamy siatki do łowienia „cudownych dzieci,“ chociaż one jeszcze tak często wiążą się z przypadkowych okoliczności i drą się na spekulacyi i reklamie, że nieraz wydobywają z toni drobną płotkę a przepuszczają wieloryba.

Być może, iż rzetelną usługę oddałaby dziś społeczeństwom taka instytucya, któraby rozpoznawała młode geniusze i talenty, dostarczała im środków i nadawała kierunek dalszego rozwoju. Bo jakże inaczej ocalić, ukształcić i spożytkować te potęgi, jeśli ich los nie postawił w warunkach troskliwej opieki i dostatku? Przypuśćmy, że między dziećmi ubogiego chłopa objawił się młody Newton. W najlepszym wypadku zwróci na niego uwagę pan dworski, ksiądz, pisarz gminy lub sądu, nauczyciel albo wreszcie jakiś przelotny ptak inteligencyi z miasta. Ludzie ci zwykle nie mogą obarczać się ciężarem kosztów nauki obcego chłopca; zresztą odkrywają w nim nadzwyczajne zdolności wtedy, kiedy on już przekroczył granicę wieku zastrzeżonego przez szkołę i nie jest do niej przygotowany. Żółwim krokiem chodzi wieść o nim po okolicy, po kraju, ktoś energiczniejszy zaczyna poszukiwać dlań bogatego opiekuna i w rezultacie albo te zabiegi nie wydają skutku, albo wieńczą się nim za późno. Mały Newton został parobczakiem, poszedł do wojska, wróciwszy zaś do domu, mógł myśleć o wszystkiem raczej, niż o kształceniu się w matematyce. Tylko na pamiątkę szczególnego do niej zamiłowania zachował w swym umyśle pewne fantastyczne dziwactwa i biegłość w dokonywaniu pamięciowych rachunków na jarmarkach. Widząc takie wypadki lub myśląc o nich, zapytujemy siebie: jeżeli istnieją agenci, którzy wyszukują karłów, ludzi z owłosieniem zwierząt, z głowami psów i ptaków, słowem wszelkiego rodzaju potwory, czemu nikt nie stara się o wynajdywanie geniuszów i talentów? Jestem przekonany, że gdyby tym ostatnim nie pozwolono marnieć i przepadać, lecz zbierano ich i kształcono, obecny okres najwyższej cywilizacyi należałby do odległych wspomnień ludzkości.

Ale opuśćmy krainę rojeń i zejdźmy na grunt rzeczywistości. Ile razy zastanawiam się nad zadaniem krytyki, zawsze jako jedno z najważniejszych jej posłannictw przedstawia mi się obwieszczanie światu o nowonarodzonych geniuszach i talentach. I doprawdy, jeżeli ona tego obowiązku nie spełnia, skazuje się na bardzo ciasny obręb wpływu i użyteczności. Jej bowiem rady, przestrogi, pochwały i nagany, zwracane do umysłów dojrzałych, spływają po nich, jak rosa lub deszcz po statuach kamiennych, nie przesiąkając do wnętrza. Natomiast jej głos

o zdolnościach młodocianych nietylko może głęboko oddziałać na ich rozwój, ale zawiadamia społeczeństwo o przyroście jego sił duchowych. Pamiętam kilka takich czynów krytyki gdzieindziej. Tak np. postawiła ona odrazu na piedestale francuskiego poetę Richepina, skoro on tylko się odezwał. Nic podobnego nie zauważyłem nigdy u nas. Młody poeta lub uczony długo musi znosić lekceważenie, wykuwać swą sławę w twardym kamieniu, zdobywać ją i składać z atomów uznania, zanim pozyska tytuł niezaprzeczonego talentu. Sienkiewicza po ukazaniu się *Szkiców węglem* wychłostano sarkazmem i złorzeczeniami — z tej strony, która w nim dziś czci słońce, Konopnickiej dawano złe stopnie z wierszowania, w Kraszewskim widziano niedołężnego gorszyciela czytelników itd. Ażeby zaś jakiś krytyk wyprowadził nieznanego autora na widownię i zawołał: oto narodził nam się wielki talent, który pielęgnować winniśmy—takiego widoku w życiu mojem u nas nie oglądałem (naturalnie wyłączam tu reporterskie cukierki i kosze kwiatów, podawane publicznie, znakomitościom jednodniowym). Co najwyżej daje się wybrańcom natury porcyę starannie odcedzonej, ciepłej, mdło słodkiej polewki, która ma im zastąpić nektar olimpijski. Tak nakarmiony został największy według mnie talent śród młodego pokolenia powieściopisarzów, Stefan Żeromski, o którym publiczność daleko mniej wie, niż o pokazywanym w Berlinie Stefanku z pod Grójca — z lwią grzywą.

Przed kilku tygodniami odwiedziłem w Ciechanowie dr. Rajkowskiego, który mi opowiedział następującą historyę. W jednej z sąsiednich wiosek zwrócono uwagę na pastuszka, który nożem wycinał ładne figurki z drzewa. Miejscowy proboszcz, któremu pokazano utwory chłopca, postanowił nim się zająć i wysłał go na naukę do pewnego sztukatora warszawskiego. Tu wszakże chłopiec niedługo przebywał, gdyż kazano mu odrabiać stereotypowe ozdoby, a on chciał tworzyć według własnych pomysłów i upodobań. Wrócił więc do domu—chory. Wówczas zajął się nim dr. Rajkowski, który go wyleczył, umieścił u siebie, dał mu możność pracowania swobodnie i nauczenia się przynajmniej czytać i pisać. Odtąd Bolesław Biegas lepi z gliny coraz nowe figury i grupy niezmordowanie, po największej części bez modelów, bez wzorów, czasem nawet bez dokładnego wyobrażenia o istotach, które przedstawia.

Gdybyście jak ja, o tem wszystkiem naprzód usłyszeli, a potem zobaczyli roboty 16-letniego, zupełnie niewykształconego pastuszka, zrozumielibyście moje zdumienie. Pokazano mi bowiem nie jakieś niezdarne próby, które zdradzają pewną samorodną zdolność wątpliwej siły i natury w swym dalszym rozwoju, ale utwory artysty, którego talent wykwitł z prostaczej powłoki z nadzwyczajną mocą i pięknością. Talent ten rozbraja najbardziej wymagającą surowość i odejmuje grunt najpodejrzliwszemu sceptycyzmowi, objawia się bowiem śmiało, wyraźnie, chciałbym rzec — potężnie. Znać w nim jeszcze niedoświadczenie, brak wprawy, wzorowanie się na statuach kościelnych, łączenie mętnych wspomnień i domysłów z ubożuchną wiedzą, ale jakże zwycięzko przebija on się przez olbrzymie trudności! Tak np. pani R. opowiedziała Biegasowi o słynnej rzeźbie starożytnej, wyobrażającej chłopca, wyjmującego sobie cierń z nogi; natychmiast zrobił coś podobnego, tylko owemu chłopcu dodał jeszcze dwóch, z których jeden mu pomaga, a drugi się przypatruje.

Ci, dla których nie ulegało żadnej wątpliwości, że w Biegasie narodził się wielki talent, musieli poczuć obowiązek zwrócenia na niego uwagi ogółu i ludzi bogatych a chętnych do szlachetnej ofiary. Nie chcąc zaś rozsławiać młodego artysty na kredyt gołosłownych zapewnień, wystawiono w księgarni Wendego zbiorek jego utworów (ze zwyczajnej gliny). Tam każdy mógł je obejrzeć i przekonać się o ich wartości. Z żalem wyznaję, że w prasie tylko *Kuryer codzienny* zamieścił gorętszą o nich wzmiankę, a tylko *Tygodnik ilustrowany* uczcił je należycie, podawszy przytem kopie fotograficzne. Niedawno można ręka wydobyła z ubóstwa i uratowała dla sztuki również rzeźbiarza z ludu—Laszczkę. Czy taką rękę znajdzie Biegas?

Wobec tego pytania jakże boleśnie pomyśleć o nieprzeliczonych a z pewnością bardzo licznych talentach, które w niedostatku i zaniedbaniu gasną jak zalane płomienie, podczas gdy miliony ludzi rozdmuchuje z całą siłą drobniutkie iskierki zdolności mierniaków! Ile kosztów ponoszą rodzice, ile trudów zużywają nauczyciele, ile to wogóle potrzeba pracy i nakładu dla wykształcenia jednego zwyczajnego lekarza, technika, fabrykanta! Tymczasem genialny syn chłopa, który nieraz może zabłysnąłby jak pierwszorzędna gwiazda na firmamencie sztuki lub nauki, jeśli na loteryi życia nie wygra jakiegoś opiekuna, ginie dla siebie i dla społeczeństwa. Zapewne trudno wymagać od ludzi, ażeby oni pogwałciwszy swoje uczucia przyrodzone dla dobra ogółu, zaniedbali własne dzieci na korzyść obcych, posiadających wyższą wartość i ofiarowali im swoje środki; ale nie ma tak ubogiego narodu, któryby nie mógł wychować i wykształcić swoich geniuszów, zwłaszcza że one zawsze rodzić się będą rzadko. Zresztą czy ktokolwiek z nich w osobistej korzyści zamyka ten skarb, jaki mu dała natura? Bynajmniej, każdy rozdziela go między miliony przez wieki. Czyż więc dla kogokolwiek może być obojętnem to, co jest dobrem dla wszystkich?

Niech ci, którzy zobaczywszy utwory Biegasa, zechcą mu dopomódz w kształceniu się, uwierzą, że w tej chwili należeć będą do najszczęśliwszych wybrańców losu i że im wielu zazdrości przywileju składania takich ofiar.

Poseł Prawdy.



BADANIA NAUKOWE.

Henryk Struve: *Wstęp krytyczny do filozofii.*

Autor zaznacza z naciskiem, że jego eklektyzm różni się od zwykłego krytycznością, że w gdzeniu różnych mniemań opiera się on na teoryi poznania i to tylko przyjmuje za prawdę, co czyni zadość wymaganiom owej teoryi. Chcąc poznać, jaką jest owa teorya poznania i oparty na niej krytycyzm autora, wystarczy zastanowić się bliżej nad temi twierdzeniami, które stanowią podwaliny jego filozofii. Do nich w pierwszym rzędzie należy zagadnienie, dotyczące świadomości.

Świadomość jest własnością zjawisk, które w odróżnieniu od zjawisk materyalnych, nieposiadających tej własności, nazywamy duchowemi. Świadomość znamy tylko z osobistego doświadczenia. Każdy z nas wie bezpośrednio, że ma świadomość siebie i swych spraw duchowych. O tem zaś, że inni ludzie są tak samo, jak i my, świadomi siebie i swych czynności, wiemy pośrednio, drogą wnioskowania przez analogię. Ponieważ między ludźmi a zwierzętami zachodzi mniej lub więcej ścisła analogia, wniosek swój przeto, co się tyczy świadomości, rozciągamy i do nich, uważając je również za istoty świadome, jakkolwiek w niższym stopniu. Następnie doświadczenia naukowo pouczają nas w sposób niepozostawiający żadnej wątpliwości, że świadomość zależy od układu nerwowego i jak najściślej jest uwarunkowana w swych objawach nietylko stopniem jego rozwoju, ale nadto przygodnemi zmianami chwilowemi i trwałemi, jakie w nim zachodzą. Dlatego też tym tylko istotom przyznać możemy świadomość, które posiadają układ nerwowy i to w stopniu, jaki odpowiada rozwojowi tego układu. Mówić więc o świadomości najniższych organizmów, pozbawionych nerwów, przyznawać ją roślinom, a tem bardziej ciałom nieorganicznym, jest to zabawiać się w przypuszczenia, które przekraczają granice wszelkiego prawdopodobieństwa i muszą być zaliczone do rzędu pomysłów czysto metafizycznych, mających na celu zadośćuczynienie pewnym wymogom oderwanej spekulacyi.

Takiego wykroczenia po za granice wszelkiego prawdopodobieństwa dopuszcza się właśnie prof. Struve, uznając świadomość za pierwiastek powszechny, nieoddzielny od materyi. Przyjmuje on w ten sposób dualizm ogólny, który zgodnie z wymaganiami eklektyzmu godzi z jednej strony materyalizm ze spirytualizmem, z drugiej — dualizm kartezyuszowski z monizmem Spinozy; ale za to prowadzi do konsekwencyj, które stoją w rażącej sprzeczności z dogmatami spirytualizmu, a mianowicie — z substancyalnością duszy ludzkiej i jej nieśmiertelnością. Substancyalność materyi może być pojęta tylko w odniesieniu do atomu. Ciała materyalne są tylko zbiorami atomów, w różnym stosunku z sobą połączonych. Tak samo ma się rzecz z substancyalnością dusz. Jedyną substancyą duchową jest świadomość, skojarzona z atomem materyalnym. Ponieważ wszystkie istoty żyjące, nie wyłączając człowieka, składają się pod względem materyalnym z nieskończonej ilości atomów, dusza ich przeto tak samo składa się z oddzielnych świadomości, z których każda jest substancyą nieśmiertelną, ale dusza sama przez się nią nie jest, gdyż jest zbiorem, który w chwili pośmiertnego rozkładu ciała również się rozkłada. Tym sposobem nasze *ja* indywidualne jest tak samo doczesne, jak i nasze ciało — i o jego nieśmiertelności mowy być nie może.

Faktem jest, że świadomość objawia się wraz z powstaniem układu nerwowego i równomiernie z nim się rozwija. Zachodzi więc pytanie: w jakim stosunku zostaje ona do niego? Mogłoby się zdawać, że stosunek ten jest przyczynowy, że świadomość jest skutkiem spraw czysto materyalnych, zachodzących w mózgu i nerwach, słowem, jest pewnym rodzajem ruchu cząsteczkowego. Jakoż do takiego wniosku dochodzą materyaliści. Na jego obronę przytaczają oni, iż wszystkie objawy świadomości tak dalece są sprzęgnięte z cielesnemi sprawami, że najmniejsze w tych sprawach zaburzenie pociąga za sobą nieraz bardzo ważne zboczenia w świadomości. Od czynności narządów zmysłowych zależą wszystkie nasze sądy i wnioski; brak któregokolwiek z owych narządów pozbawia nasz umysł odpowiedniej kategoryi postrzeżeń, a tem samem uszczupla zakres doświadczenia i staje się powodem wadliwości sądów i wniosków. Nasze uczucia i wzruszenia mają swój początek w czuciach organicznych, związanych ze sprawami czysto fizyologicznemi. Wola nareszcie nie jest niczem więcej, jak skurczem mięśni prążkowych, wywoływanym i regulowanym przez uczucia, skojarzone z wyobrażeniami. Sama świadomość siebie, jako *ja* indywidualnego, tak dalece uwarunkowana jest pamięcią, będącą natury czysto materyalnej, że przy zaniku pamięci i świadomość siebie ginie.

Spirytualiści, albo jak ich inni nazywają, idealiści, z przeciwnego wychodząc

stanowiska, zaznaczają, że materya, ściśle rzeczy biorąc, nie jest niczem więcej, niż naszem wyobrażeniem — i sama przez się nie istnieje. Materyę znamy, jako coś, co stawia opór naszym ruchom. Lecz opór, jakiego doznajemy, jest naszem czuciem, zmianą naszej świadomości. Jeżeli przyczynę tej zmiany upatrujemy po za świadomością, to podlegamy w tym wypadku złudzeniu, którego źródłem jest prawo przyczynowości, mające znaczenie czysto podmiotowe. Niem się kierując, wynosimy przed świadomość to, co w niej zachodzi — i w ten sposób wytwarzamy świat wewnętrzny, który nie jest niczem więcej, niż halucynacyą. Materyalizm, który wszystko sprowadza do ruchu materyi, w ostatecznych wynikach swych wyjaśnień okazuje się tak niedołężnym, że nie może poradzić sobie nawet z tymi faktami, które zdają się wyłącznie do niego należeć. Umie on wszelki ruch materyi sprowadzić do pewnych praw mechanicznych, ale nie może wytłomaczyć początku samego ruchu; wie on dokładnie, mocą jakich procesów fizycznych i chemicznych dokonywają się sprawy życiowe, ale o naturze życia i jego początku pojęcia nie ma.

Jakkolwiek powyższym wywodom spirytualizmu i jego uwagom, co się tyczy materyalizmu, musimy przyznać słuszność, nie wynika stąd przecież konieczność odmawiania światowi zewnętrznemu i — co za tem idzie — materyi, znaczenia przedmiotowego. Że świat zewnętrzny istnieje niezależnie od naszej świadomości, bezpośredniego dowodu na to nie posiadamy, ale mamy dowód pośredni, który w tym wypadku wystarcza najzupełniej. Każdy z nas drogą wnioskowania przez analogię wie, że oprócz niego inni ludzie tak samo, jak i on, posiadają świadomość, że oprócz ludzi posiadają ją także zwierzęta. Tą samą drogą dowiaduje się, że w przeszłości istniały tak samo istoty świadome, jak i obecnie, ale zarazem i o tem, że był czas, kiedy nie było istot świadomych, a pomimo to świat zewnętrzny z całą rozmaitością swych zjawisk istniał i doznawał licznych przeobrażeń. Świat więc zewnętrzny powstał wprzód, zanim pojawiła się świadomość i trwał niezależnie od niej. Przyjmując więc świadomość jako coś różnego od materyi, co nie daje się sprowadzić do ruchu mechanicznego, musimy zarazem przyjąć, że materya nie jest prostą halucynacyą naszego umysłu, ale faktem równorzędnym ze świadomością.

Czemże więc jest materya? Na to pytanie można odpowiedzieć pytaniem innem: czemże jest świadomość, czyli dusza? Otóż, jak materyalizm nie daje odpowiedzi na pytanie pierwsze, tak ze swej strony spirytualizm nie daje jej na pytanie drugie. Obie te doktryny, zapatrując się na rzecz z wręcz przeciwnych sobie stanowisk — jedna z przedmiotowego, druga z podmiotowego — okazują się jednostronnemi i nie wystarczają same przez się do wytłómaczenia rzeczywistości. Muszą one być pogodzone z sobą. Czy hipoteza, przyjęta przez prof. Struvego, czyni zadość tej potrzebie? Czy rozstrzyga ona pod jakimkolwiekbądź względem zagadnienie, dotyczące stosunku duszy i materyi? Bynajmniej! Odsuwa ona tylko to zagadnienie, pozostawiając je nierozwiązanem, jakiem ono dotąd było. Dualizm więc powszechny tak samo, jak i kartezyuszowski, jest hipotezą, która nic zgola nie tłómaczy.

W bezpośrednim związku z dualizmem autora, obdarzającego całą przyrodę świadomością, zostaje jego zapatrywanie na naturę pojęć. Podług niego mają one znaczenie nietylko podmiotowe, ale i przedmiotowe. Są one przedmiotowemi, o ile należą do naszego umysłu, przedmiotowemi zaś, ponieważ znajdują się także w przyrodzie, stanowiąc istotę tego, co nazywamy gatunkami i rodzajami. Pogląd ten, pomijając już to, że jest wskrzeszeniem średniowiecznego realizmu, zawiera w sobie pewną sprzeczność. Każe on domyślać się tożsamości pojęć podmiotowych i przedmiotowych, tymczasem naznacza im autor różny początek. Pojęcia przedmiotowe znajdują się w przyrodzie gotowe, dane są jej z góry, a więc mają początek transcendentalny; przeciwnie pojęcia podmiotowe są wytworem naszego umysłu. Prawda, że umysł nasz wytwarza je niezależnie od doświadczenia: nie dostarcza mu ono materyału do nich, ale tylko pobudza go do czynności, która sama w sobie znajduje treść potrzebną. W ten sposób pojęcia podmiotowe nie powstają drogą abstrakcyi i uogólnienia, ale mocą wrodzonej umysłowi twórczości, która również ma początek transcendentalny. Dodać tu jeszcze potrzeba, że ponieważ człowiek należy tak samo do przyrody, jak i inne twory, więc i w nim muszą się znajdować idee przedmiotowe — gatunku i rodzaju. W jakimże stosunku zostają one do idei podmiotowych i wogóle do świadomości tak ludzkiej, jak i powszechnej?

Rzecz prosta, że kto przyjmuje *uniwersalia in re* i, co za tem idzie, *uniwersalia ante rem*, ten nie może pozostawić świata i jego tworów własnemu ich losowi, nie może pozwolić, ażeby w przyrodzie wszystko się działo mocą właściwych jej praw, w warunkach, jakie z biegiem czasu w niej powstają wskutek wzajemnego na się oddziaływania jej czynników. Wszystko w niej z góry jest obmyślonem i urządzonem raz na zawsze. Powołując świat do bytu, kierował się Stwórca pewnymi zamiarami i stosownie do nich wszystko w nim urządzał tak, że każdy szczegół jego odpowiada pewnemu przeznaczeniu i łączy się z innemi w stosunku, podług którego jeden dla drugiego jest zarazem i celem i środkiem. Jakoż prof. Struve jest stanowczym przeciwnikiem teoryi rozwojowej, jak ją rozwinęli Spencer, Darwin i ich zwolennicy, i zajmuje wobec nich stanowisko prawowiernego wyznawcy nadprzyrodzonej teleologii.

Poucza nas autor, że wszystkie twory przyrody, zgodnie z ustanowionym porządkiem, pozostają niezmienne w swym bycie, jak niezmiennymi są gatunki i rodzaje, których one są zrealizowaniem. A jakkolwiek cała przyroda i szczególne jej byty posiadają świadomość, nie ma ona żadnego udziału w ich sprawach. Wszystko w nich dzieje się z konieczności — i świadomość ich jest darem, z którego, ściśle rzeczy biorąc, najmniejszego pożytku nie mają. Wyjątek pod tym względem stanowią ludzie, którzy, posiadając wolną wolę, mają zostawiony sobie pewien zakres działania, żadnemi prawami zgóry nieograniczonego, działania swobodnego, kierowanego dobrymi lub złymi zamiarami, od ich dobrej lub złej woli zależnymi.

W powyższych wywodach autora, jeżeli co jest ciekawem, to jego argumentacya przeciwko Darwinowi. Nie wdaje się on w rozbiór jego zasad, lecz poprzestając na zaznaczeniu, że w dziele swem *Dessent of man* używa wyrażenia: „celowość w przyrodzie, której nie przedstawia jako wyniku czynników rozwoju, lecz przyjmuje ją za podstawę swej argumentacyi.“ Ażeby zaś nadać większe znaczenie powyższej uwadze, dodaje, że naliczył w owem dziele Darwina przeszło pięćdziesiąt miejsc, w których celowość w przyrodzie użyta jest w takiem rozumieniu. Otóż uwaga ta, jeżeli czego dowodzi, to chyba tego jednego, że prof. Struvemu nie jest znane dzieło Darwina: *O pochodzeniu gatunków*. W niem on właśnie wyjaśnia, co rozumie przez celowość w przyrodzie. Ponieważ dzieło to, uzasadniające teoryę doboru naturalnego, stanowi podstawę wszystkich praw, w których przyrodnik angielski teoryę tę stosuje do szczególnych zagadnień, do jakich należy i pochodzenie człowieka; dla tegoż nie uważał za potrzebne każdego swego nowego dzieła rozpoczynać od wyjaśnienia tego, czem jest celowość w przyrodzie; przypuszczał bowiem, że każdy, kto zabiera się do odczytania któregokolwiek z jego dzieł specyalnych, postara się wprzód zapoznać z jego dziełem zasadniczem, jakiem jest: *O pochodzeniu gatunków*. Nie więcej dowodzą pod tym względem i przytoczone z wymienionego dzieła Darwina zdania, które o tem tylko mówią, że autor jego w pewnych wypadkach, bardziej niż inne zawikłanych, znajdował trudności w zastosowaniu swej teoryi, chociaż nie wątpił, że trudności te przy dokładniejszem zbadaniu rzeczy dadzą się usunąć.

Prof. Struve stara się przekonać swych czytelników, że metafizyka jest konieczna. Otóż konieczność każdej rzeczy opiera się na tem, czy i w jakiej mierze czyni ona zadość odczuwanym powszechnie potrzebom. Że w obecnej chwili więcej jesteśmy ciekawi tego, co się dzieje po za rzeczywistością, niż w niej, że większy dla nas mają urok fantastyczne rojenia o tem, co leży po za granicami naszego poznania, niżeli prawdy w zakresie wiedzy zdobyte, że łatwiej pozyskują naszą wiarę takie rzeczy, jak spirytyzm, geometrya transcendentalna itp., niż odkrycia naukowe, skromne na pozór, ale w skutkach swych wywołujące ważne zmiany w warunkach życia — zbytecznem było dowodzić. To też dopóki tego rodzaju skłonności i usposobienia trwać będą, będzie miała metafizyka swych wyznawców i obrońców, gdyż zaspokajać będzie ich potrzeby umysłowe. Sądzę jednakże, że koniec jej zbliża się. Wyczerpała się ona w swych pomysłach — i nic nowego nie ma do powiedzenia. Powtarzając zaś ciągle to, co dawniej już było wypowiedzianem a wypowiedzianem z większą umiejętnością — znudzi w końcu i doprowadzi do przeświadczenia, że jak w praktyce, tak i w teoryi musimy pilnie rachować się z warunkami, które nasze czynności ograniczają, wykreślając drogę, po jakiej musimy kroczyć, jeżeli pragniemy być użytecznymi tak dla ludzkości, jak i dla samych siebie.

Wł. Kozłowski.

PIĘKNO W NATURZE
ze stanowiska hygieny duszy i ciała

(odczyt wypowiedziany w Zakopanem na korzyść Muzeum imienia Tytusa Chałubińskiego).

IV.

Że gorące uczucia i nieokiełzane namiętności, choroba dziedziczna, przypadek, a często istotnie wielkie w życiu niepowodzenia niejedną gwiazdę przedwcześnie zagasiły, to nie przeczy zasadzie, że poetyczność przedłuża życie człowieka. Zamiłowanie natury, daje bezustannie wdzięczny poetyczności pokarm.

Kto kocha naturę, ten wobec tak licznych w naszem życiu niepowodzeń, zawodów i przeciwności znajduje ukojenie wobec pięknego, łagodnego krajobrazu. W kim wychowanie wytworzyło odpowiednią wrażliwość, temu dało ono duży zasób balsamu, kojącego niejedno cierpienie lepiej i bezpieczniej, niż alkohol, nikotyna, haszysz lub morfina.

Jak krajobrazy wesołe, śmiejące się, słoneczne działają dodatnio na stan nasz moralny i fizyczny, tak znowu w chwilach ogarniającego nas smutku tęskne, szare, nawet ponure, przez dziwną zgodę, jaka wywiązuje się między usposobieniem naszem a tonem pejzażu, wywołują jakiś nowy moment zadowolenia i ukojenia na podobieństwo współczucia, które ucisza

naszą skargę, na podobieństwo piosenki minorowej, która ulgę przynosi zranionej duszy. To ulżenie ciężaru troski jest zmniejszeniem ujemnych wpływów smutku i bólu na sprawę naszego zdrowia. Powstaje wtedy w nas niby wdzięczność naturze, która z nami niejako współczuje, wraz z nami płacze — a ta wdzięczność jest czynnikiem hygienicznie dodatnim.

Nie dość tego, w wielu formach rozstrojonego zdrowia piękno natury staje się prawdziwym czynnikiem leczniczym. W pewnych postaciach zaburzeń nerwowych pobyt w miejscowościach szczególnie malowniczych działa niewątpliwie nietylko przez czyste i krzepiące powietrze, ale i przez powtarzane uniesienia estetyczne. W niektórych wypadkach wystarcza i tylko odpowiednim jest pobyt śród pejzażów łagodnych, że tak rzekę, w piękności swej skromnych—wrażenia silniejsze mogą działać zbyt podniecająco i wyczerpywać energię nerwową. Kiedyindziej znowu pomyślnie wpływają krajobrazy pełne majestatycznej wielkości lub nawet grozy, bo tu do zwykłego uczucia zadowolenia ze spokojnego powabu i wdzięku przybywają silne wzruszenia zachwytu, i porywające duszę naszą uniesienia.

Zwróciliśmy uwagę powyżej na tę okoliczność, że arcydzieła geniuszu ludzkiego są mało przystępne dla ogółu; natura zaś jest wszędzie arcydziełem, wzruszenia przeto dodatnie, wynikające z poczucia jej piękna, są przystępne dla wszystkich.

Ale i śród widoków natury są takie, o którychby można powiedzieć, że w nich siła twórcza w wyjątkowem pracowała natchnieniu, że tymi utworami pragnęła sama szczególniej się ucieszyć, a przed świadomością ludzką szczególniej się popisać. Te wspaniałe obrazy przyrody nie są też dla wszystkich przystępne, wpływ zaś ich krzepiący ciało i podnoszący ducha jest szczególniej wielki, bądź skutkiem bezwzględnego tych arcydzieł piękna, bądź skutkiem niezwykłości ich dla oka, rzadko tylko mogącego je oglądać. Ludzie, którzy raz jeden w życiu widzieli wielki krajobraz górski lub morski, zachowują wrażenie doznanego zachwytu niemal na całe życie. Wynika stąd, iż społeczeństwo winno starać się o to, ażeby uprzystępnić możliwie dla wszystkich wielkie dzieła natury. Instytucye, ułatwiające podróże międzynarodowe, byłyby w tym celu niezmiernie pożytecznemi. Ale przecież i każdy kraj ma swoje uboższe i bogatsze w czary okolice, to też instytucye, któreby umożliwiały młodzieży peryodyczne wycieczki po kraju dla poznania uroków własnej ojczyzny byłyby wyrazem prawdziwej troski o dobro i rozwój własnego społeczeństwa, o zdrowie fizyczne i duchowe obywateli, pominąwszy, że jest to jeden z czynników wzmacniających przywiązanie do ziemi ojczystej. Pomyślała o tem Szwajcarya. Tam zobaczyć można, na każdym niemal kroku, w czasie wakacyjnym, oddziały małych dzieci, z nauczycielami na czele, wędrujących wesoło, karmiących się coraz to nowemi wrażeniami. Wędrówki te zawdzięcza młodzież obywatelom, którzy przez wielką miłość dla swej ziemi i swych współbraci poczynili hojne zapisy na te cele. Szukajmyż u nas tych dobrodziejów! Oby się znaleźli!

Do najbardziej majestatycznych należą pejzaże górskie i morskie. Mieszkaniec równin, poza płytkiemi szczerbami, jakie w widnokręgu tworzą na dalekim planie słabe nierówności poziomu z profilami leśnych pasów, wiosek lub co najwyżej jakiejś wieży kościelnej, nie szuka niczego na nieboskłonie, chyba łuny zachodzącego lub wschodzącego słońca, czerwonej tarczy księżyca, gwiazdy porannej lub wieczornej, lub wreszcie gromady chmur fantastycznych, zresztą niczego więcej w pustej zawsze przestrzeni. Nagle spostrzega tam, gdzie tylko mgły wiszą lub wędrują po niebie, jakąś rzeczywistość, jakieś dziwaczne kontury, to mglistawo-błękitne, to wyraziście lśniące miliardami iskierek, to srebrzące się rozległemi śnieżnemi matami—jest to wyraźnie jakaś rzeczywistość pochwytna śród niepochwytnej przestrzeni, jest to ziemia w niebie! Jest to zdawałoby się coś niedostępnego, a jednak chyba dostępne, jest to niebo na ziemi, jest to razem myt i rzeczywistość, objawienie jakiegoś cudu — dla jadącego z Chabówki do Nowego Targu — to są Tatry! Tam można pójść, tam można być. I wnet pod wpływem tego objawienia ośrodek oddechowy staje się wrażliwszym, zaczynamy oddychać nierównie głębiej, nerwy pobudzają mięsień serca do szybszego i pełniejszego ruchu, krążki krwi raźniej biegnąc przez lepiej przewietrzane płuca, nasycają się obficiej tlenem i podnosi się energia żywotna każdej komórki każdej tkanki, wibracye drobinek nerwowych potęgują się, czujemy we wszystkich nerwach naszych, w całej naszej cielesnej jaźni, jakąś nieopisaną, błogą falę podniesionego życia — słowem, jesteśmy przejęci wielkiem wzruszeniem zachwytu! Wzruszenie to w nas tak rośnie, że objętość ciała własnego staje się dla nas jakoby za ciasną i szukamy wtedy obok siebie druha, z którym podzielićbyśmy się mogli naszemi wrażeniami: Patrz, jakie to piękne! Wszak prawda jakie to zachwycające?! I tego druha naszego jeszcze mocniej wtedy kochamy — a wieszcz, choćby był samotny, zaśpiewa do świata całego:

Ej wy góry, mgławe góry,
  Zaklęte dokoła!
Myśl orlemi leci pióry
  Na wasze przyczoła.

. . . .

W niżnie szare już nie wrócę,
  Z orłami polecę,
Z mgły przepaściom mosty rzucę
  Wzrokiem je rozświecę.

. . . .

W przepaść rzucę bóle ziemi,
  Myśl skąpię w lazurze;
Z oblokami słonecznemi
  Rozbłysnę się w górze.

. . . . (*Konopnicka*).

(D. n.).

Dr. Henryk Nussbaum.

SPRAWY EKONOMICZNE.

JARMARKI

(SZKIC PORÓWNAWCZO-SOCYOLOGICZNY).

II.

Są jarmarki rozmaitego rodzaju. Jedne są miejscem wymiany przedmiotów, pochodzących z niewielkiego względnie obszaru geograficznego, inne ściągają płody z bardzo odległych okolic i od samego początku odznaczają się charakterem międzyplemiennym. Te ostatnie leżą zwykle nad wielkiemi rzekami.

Dzieje obu kategoryj są dość odmienne. Pierwsza już w bardzo wczesnym okresie przybiera charakter targów, wprawdzie nieco większych i rzadszych, niż zwykłe. Przeważają tam przedmioty działalności czysto przetwórczej, jak to widzimy u nas na jarmarkach małomiasteczkowych. Jest to ognisko zetknięcia rzemiosła z gospodarstwem włościańskiem, które rządząc się zasadami naturalnemi, może poprzestawać na takich targach, okresy zaś handlu są ustanowione według peryodyczności potrzeb i środków osady chłopskiej. Przynajmniej takie oblicze miały jarmarki w naszym kraju przed powstaniem sieci kolei.

Natomiast druga kategorya jarmarków, tych mianowicie, które są widownią wymiany wzajemnej pomiędzy dalekiemi nieraz okolicami, nie tak łatwo przeniewierza się tradycyi. Pozostają one w ciągu wieków miejscem, na którem spotykają się płody naturalne. Z jednej okolicy idzie na roczne targowisko nadmiar pewnych produktów, pozostających po spożyciu a właściwych tej miejscowości, z innych nadchodzą inne surowce. Ponieważ obszary są dość od siebie odległe, pojedyńczym zaś gospodarstwom i rzemieślnikom nie opłacałoby się udawać w tak uciążliwą i zmudną podróż dla sprzedania kilku skórek i nabycia kilku przedmiotów, przeto wydziela się tam bardzo wcześnie grupa hurtowników, którzy skupując w swojej ojczyźnie rodzime surowce, ciągną karawanami na jarmark, ażeby w zamian otrzymać płody innych okolic. Zaopatrują oni daną dzielnicę w odpowiedni materyał na rok cały, przywieziony zaś przez nich surowiec rozchodzi się pomiędzy spożywcami albo w formie pierwotnej (jak bywa u nas że skórami na futra: potrzebujący kupuje je i wzywa kuśnierza), albo też zjawiają się rzemieśnicy, nadający surowcowi inne kształty. Jeżeli zaś z biegiem czasu na takim jarmarku zjawiają się też fabrykaty, zawsze stanowią one tam tylko pewną część produktu — mniej liczną i są przeznaczone na wypłatę należności okolicom, nadsyłającym płody surowe. Zniknięcie tych ostatnich zwiastuje rozkład takiego ogniska peryodycznego wielkiej wymiany w stałym i prawidłowym handlu codziennym.

Taką jest zasada, rządząca rozwojem jarmarków międzyplemiennych. Tę kolejną zmienność stosunku możemy przewybornie badać na dziejach targowiska, które, przechodząc z miejsca na miejsce, wzdłuż nurtów Wołgi, znalazło wreszcie przytułek na języku ziemi, wrzynającym się pomiędzy wody pod Niższym Nowogrodem. Aż do obecnego wieku wyłącznym niemal przedmiotem wymiany są tam surowce. Natura produktów jest wciąż inna w następstwie wieków, lecz pod tym jednym względem zawsze niezmienna.

W odległej przeszłości na targ doroczny przywożono futra i skóry, miód i orzechy. Liczba odmiennych przedmiotów jest wtedy jeszcze bardzo nieznaczna, odpowiednio do niskiego poziomu potrzeb wieków ówczesnych. Z biegiem czasu, gdy pustkowia stepowe, leżące wzdłuż Wołgi, zamieniły się na pola orne, gdy przy ujściu powstały procedery rybackie, wysyłające suszone ryby i kawior, północ zaś nie mogła zaspokoić potrzeb swoich plonem pól własnych, oblicze jarmarku nadwołżańskiego ulega zupełnej zmianie. Zjawiają się nowe produkty, współzawodniczące co do ogromu swego i znaczenia z futrami. Są to ryby, a przedewszystkiem zboże, nadsyłane z dołu rzeki. Podczas pory wiosennej ciągnęły w górę gabary ze zbożem przeszłorocznem. Pod Makarowem tworzył się chwilowy, pływający śpichlerz, obliczony na pokrycie stałego niedoboru, istniejącego w guberniach północnych i w Petersburgu. Nam, którzy dzięki kolejom żelaznym możemy otrzymać codziennie transporty zboża, przyczem skutkiem takiej częstości ładunki odznaczają się niewielkimi rozmiarami, którzy w dalszym ciągu, za pomocą tranzakcyj terminowych, tak uregulowaliśmy ów potok zbożowy, iż nie zna on posuch—względnie, nam musi wydawać się ów widok olbrzymiego zapasu ziarna, nagromadzonego na jednem miejscu, rzeczą bardzo dziwną i przedewszystkiem niepraktyczną. Atoli cała organizacya wymiany była w harmonii z zasadami ówczesnego gospodarstwa naturalnego. Bez jarmarku handel zbożowy może wyżłobiłby inne łożyska, ale istnienie dorocznych targów,

położonych nad jedyną podówczas tanią i prawidłową arteryą hurtowego ruchu kupieckiego, oddziałało, ofiarując wyrobione już modły na usługi nowym potrzebom. Makarów, później zaś Niższy Nowogród, zaczynają wpływać powściągająco na rozpowszechnienie się handlu wzdłuż i wszerz państwa. Sprawdza się tam to spostrzeżenie, że gdziekolwiek w pewnej epoce powstanie doskonała instytucya ekonomiczna, dalszy rozwój opóźnia się, bo ukazujące się potrzeby szukają zaspokojenia na drodze już utorowanej. Natomiast obecność takiego rynku przyspiesza postęp gospodarczy w dzielnicach ościennych, jak to ujrzymy niebawem.

Kolonizacya Noworosyi stwarza nowe, wydajniejsze ogniska produkcyi ziarna. Dowóz Wołgą jest stamtąd niemożliwy i zbyt tego towaru zaczyna wyżłabiać inne kanały. Zboże przerzedza się na jarmarku, aż wreszcie zupełnie znika z niego, zwiastując w historyi rozwoju ekonomicznego Rosyi nową epokę — innych dróg obrotu handlowego. Jest to okres powstawania szos i kolei, wogóle komunikacyj natury statecznej, umożliwiających prawidłowy obieg sokom wymiennym w społeczeństwie, tj. niezwiązany tylko z kilku tygodniami w roku. Na jarmarku w Niższym Nowogrodzie rej wodzić zaczyna nowy produkt, herbata, obok zaś niej żelazo. Okolice Uralu, bezludne i mało rozwinięte, oraz Azya dostarczają tych surowców. Był czas, w którym cały zapas herbaty, przychodzący do Europy, odbywał przymusową kwarantannę handlową tam nad Wołgą. Na jarmazku powstawał olbrzymi skład miesięczny, jak ongi zboża — co w ciągu roku miały spożyć inne kraje naszej części świata, znajdowało się tam na rynku. Kupcy, przywożący herbatę, otrzymywali wskazówki co do rozmiarów istniejącego zapotrzebowania, i na rok następny przywozili odpowiednie ilości. Jarmark odgrywał poniekąd rolę biura statystycznego, wyznaczającego wielkość popytu. Z zapanowaniem herbaty i żelaza zmienia się fizyognomia targowiska, dokładniej: rysy, które zjawiły się już za okresu zbożowego, nabierają większej wyrazistości. Wtargnięcie herbaty jest zetknięciem się dzielnic bardzo mało kulturalnych z więcej przemysłowemi. Kupcy, przywożący ten towar, pewną część należności pobierają w gotowym produkcie działalności przetwórczej, tj. na jarmarku zaczynają ukazywać się, prócz surowców, jak było w epoce wcześniejszej, jeszcze fabrykaty. To samo robili ci, którzy przywozili ryby, skóry, futra — ze Wschodu i Południa. Nagromadzenie surowców zaczyna wywoływać podaż zwiększoną przedmiotów wykończonych. Tworzy się rynek stały, niezawodny. W guberniach, leżących w pobliżu targów, ukazuje się przemysł przetwórczy. „Kustarstwo“ istnieje w zarodku po całej Rosyi, ale nigdzie nie rozwinęło się tak silnie, jak w dzielnicy pomiędzy Moskwą a Niższym Nowogrodem. Właśnie wzrost tego przemysłu przerabiającego był przyczyną zjawienia się na rynku żelaza. „Kustarzy“ kupują surowiec dla przeróbki, gotowe produkty zaś znowu wracają na jarmark i ostatecznie służą za środek wypłaty dzielnicom, nadsyłającym herbatę, skóry, ryby. Na pewnym szczeblu rozwoju drobne te warsztaty zaczynają zamieniać się na fabryki, jak to mianowicie dzieje się w tkactwie. Przewrót ekonomiczny, który nastał po reformie włościańskiej, jeszcze bardziej sprzyja usadowieniu się w guberniach ościennych przemysłu przetwórczego. Koleje i wogóle sieć dróg ulepszonych pokrywają Rosyę, towar, wyrabiany przez zawodowców, powoli wyrugowywa dawne zwyczaje włościanina odziewania się w tkaniny własnego wyrobu i zaspokajania w taki sposób innych potrzeb. Powstające zakłady korzystają z istnienia jarmarku, który przedewszystkiem jest pewnego rodzaju klapą bezpieczeństwa przeciw niewyprzedaży towarów. W porze letniej przybywają do Niższego Nowogrodu kupcy z najdalszych dzielnic. Fabrykant, który nie rozprzedał wytworu, wysyła tam resztki i braki, pewny, że zawsze znajdzie nabywców. Na jarmark udaje się także przedstawiciel tylko co założonej firmy, ażeby zyskać imię handlowe: targowisko, ściągając dziesiątki tysięcy przemysłowców, jest przewybornem miejscem reklamy i nawiązania stosunków wzajemnych. Przedstawia ono rodzaj zbiornika, do którego prowadzą ustalone już i wyrobione kanały zbytu w różne okolice. Towar, mający imię, dostać się zdoła na prowincyę innemi drogami, ale o ile chodzi o natychmiastowe zyskanie sławy, jarmark na razie nie da się czem innem zastąpić. Wreszcie jest on miejscem powzięcia wyobrażenia o istniejących gustach i upodobaniach spożywców, oraz o ich zmianie. Fabrykant dowiaduje się tam, jak przyjęto jego produkt przeszłoroczny, co się podobało, co zaś nie znalazło oddźwięku. Niższy Nowogród spełnia te zadania i musi spełniać skutkiem małego rozwoju ekonomicznego Rosyi. W Europie obowiązki takie ciążą na domach komisowych i agenturach, oraz na urządzeniu komiwojażerów — wszystko to są instytucye, każące przypuszczać, że koleje, linie telegraficzne i pocztowe pokryły kraj i odznaczają się posuniętą techniką. Cesarstwo nie posiada jeszcze tego i jarmark spełnia odpowiednie czynności. Przemysł rosyjski nawet uprzedził ulepszenia w zakresie przewozu i porozumiewania się — tylko dzięki takim dorocznym targom. Istnienie zjazdu nad Wołgą działa powstrzymująco na postęp techniki pośredniczącej. Atoli bądź co bądź, odbywa się on i uszczupla ogrom obrotów na jarmarku. Każda kolej lub agentura, powstająca w którymkolwiek zakątku, każdy nowy komiwojażer, cząstka po cząstce ujmuje coś z dawnego punktu ciężkości ekonomicznej i równomiernej rozkłada tranzakcye po powierzchni państwa. Jarmark w Niższym Nowogrodzie stworzył przemysł Rosyi środkowej, lecz dalszy rozwój ekonomiczny niszczy znaczenie tego jedynego ongi rynku: fabryki, wszedłszy w stosunki z oddzielnemi dzielnicami za pośrednictwem zborów nadwołżańskich, zwolna wysuwają inne środki porozumiewania się — stalsze, prawidłowsze. Zjazd lipcowy pozostaje tylko rynkiem zbytu dla tych fabrykatów, które mają być wysłane do Azyi i tylko dlatego, ponieważ tamte dzielnice nie mają ani dróg żelaznych, ani poczt i nie znają domów komisowych i agentur.

Odbiegliśmy jednak zanadto od tego okresu, w którym herbata stanowiła najważniejszy produkt sprzedaży w Niższym Nowogrodzie.

Epoka ta trwa niezbyt długo. Tylko co wymieniony towar był przedmiotem handlu nie wyłącznie rosyjskiego, ale międzynarodowego. To też zmiany, które odbywają się w dalekich dzielnicach globu, oddziaływają na obroty nowogrodzkie. Kupcy, udający się nad Wołgę, z doświadczenia poznają, że mimo całej „samobytności“ są związani pętami zależności wzajemnej ze stosunkowo bardzo odległemi okolicami. Przekopanie kanału Suezkiego sprawia przewrót gruntowny w fizyognomii jarmarku: herbata zaczyna nadchodzić do Europy drogą morską, transporty są rozłożone na rok cały, ceny zależą od innych warunków, niż ongi. W Niższym Nowogrodzie sprzedają jeszcze obecnie towaru chińskiego za 20 milionów rubli, ale ognisko to przestało dyktować ceny. Zabór Turkestanu, wzrost wpływów Rosyi w Azyi i inne okoliczności przyczyniają się do ściągania na jarmark nowych produktów: Syberya, pewne dzielnice chińskie, Persya, koczownicy stepów aż pod Indus zaczynają wysyłać tam surowce. Niższy Nowogród jest jedynem ogniskiem, na którem stepowiec Azyi może zbywać swoje produkty. Wełna, skóry i inne wytwory pasterskiego trybu życia znajdują tam rynek. Wymiana surowców stepowych i myśliwskich na wyroby fabryczne —oto podstawa dzisiejszej wielkości jarmarku i jego istnienia w najbliższej przyszłości.

Obraz to nieustającej walki! Nowoczesny rozwój, stwarzając drogi komunikacyjne i pokrywając państwo siecią drutów telegraficznych, umożliwiając stałe stosunki pomiędzy dalekiemi okolicami i prawidłowe porozumienie, podkopuje byt ekonomiczny jarmarków. Rozkładają się one w spójniejszym organizmie, działającym bez przerwy i w ukryciu. Ludziska dziwią się, że targi łowickie nie mają dawnej świetności, że kontrakty kijowskie utraciły ruchliwość i przypisują to „nędzy“ i zubożeniu kraju, lecz nie zwracają na to uwagi, że taki sposób wymiany był wynikiem ustroju starodawnego i tak samo nie odpowiada potrzebom dzisiejszym, jak szlaki, karawany kupieckie i zapłata należności gotówką.

Z tej walki wychodził Niższy Nowogród zwycięzko, choć ze zmienionem obliczem. Przy bliższem wejrzeniu okazuje się, że każde jego zwycięztwo jest zarazem przegraną. Istnienie jego zależy od niskiego stanu ekonomicznego coraz dalszej okolicy! I możemy wyznaczyć dni jego. Upadek nastąpi wtedy, gdy kolej połączy z cywilizacyą dalekie zakątki Azyi środkowej, gdy w miastach Syberyi, Mongolii, Dżungaryi, Turkestanu i Persyi powstaną agentury, zjawią się komiwojażerowie, przeprowadzone będą poczty i telegrafy, słowem, gdy potok wymienny ujętym zostanie w prawidłowe obstalunki codzienne. Jarmark nadwołżański opiera się dzisiaj głównie na Azyi i czerpie żywotność w jej uwstecznieniu ekonomicznem. Lecz gdy postęp ekonomiczny ogarnie obszary Wschodu, naówczas z gwarem lipcowym i sierpniowym Niższego Nowogrodu stanie się to samo, co z jarmarkami Europy — ze zjawiska realnego zamieni się on na suchy opis na stronicach książek ekonomicznych.

K. R. Ż.

— Uwolniono od stempla wszystkie podania, adresowane do instytucyj ministeryum rolnictwa, mających charakter naukowy lub handlowy. W ten sposób wolne są od stempla prośby o wydanie plonek i nasion, o udzielanie informacyj fachowych, o rekomendacye itd.

— *Kuryer. Warsz.* oblicza, iż z powodu monopolu wódczanego ulegnie skasowaniu 600 szynków w Warszawie. Na tej zasadzie przypuszcza, że i komorne spadnie.

— Tworzy się Towarzystwo eksploatacyi wielkich pokładów węgla kamiennego na Kaukazie.

— W Petersburgu rozpoczną się wkrótce narady przedstawicieli ministeryów skarbu — rosyjskiego i niemieckiego, w sprawie traktatu, zawartego w r. 1893.

— Zatwierdzono ustawę pierwszego Towarzystwa irygacyjnego na południu państwa.

— W dobrach Wysoka Pilicka (pow. Będziński, gmina Rokitno Szlacheckie) znaleziono w trzech miejscach obfite pokłady rudy żelaznej. We wsi Cięgowice tejże gminy na gruntach włościańskich również w trzech miejscach, znaleziono pokłady rudy żelaznej.

— W Paryżu powstało przedsiębiorstwo akcyjne pod nazwą *Societe generale pour l'industrie en Russie*, z kapitałem 5,000,000 fr.



W DALI.

Pierwszy Zjazd rolników gub. Podolskiej w Płoskirowie.

Za pozwoleniem p. ministra rolnictwa d. 9—12 września r. b. odbył się zjazd rolniczy w powiatowem mieście Płoskirowie (stacya kolei Odesko-Wołoczyckiej). W kraju wyłącznie rolniczym, jak Podole, już oddawna odczuwano potrzebę stworzenia jakiegoś organu obrony interesów rolnika w rodzaju istniejących gdzicindziej towarzystw. Jeśli zważymy na obecne przesilenie, które pobudza ziemian do gorączkowego szukania ratunku, nie dziwnem się wyda, iż wieść o zjeździe wywołała śród nich powszechne zainteresowanie. Wszelako dzięki temu, iż zaproszenia rozesłano za późno i nie wszyscy je otrzymali, oraz, że wybrano niestosowną porę—czas siejby, młócenia, kopania buraków—zjechało się zaledwo 150 osób.

Program obrad, ułożony przez kilku inicyatorów zjazdu, a zatwierdzony przez władzę, objął najbardziej palące kwestye rolnicze: 1) organizacya podolskiego Towarz. rolniczego; 2) otwarcie niższej szkoły rolniczej w jednym z powiatów gub. Podolskiej; 3) wzajemne ubezpieczanie; 4) wzajemny kredyt; 5) bezpośrednie rządowe zakupy wszystkich produktów rolnych; 6) serwituty i usunięcie szachownic; 7) uregulowanie stosunków pomiędzy pracodawcami a robotnikami i 8) zniesienie lub zmniejszenie ceł na zagraniczne maszyny, narzędzia i przedmioty rolnicze.

Referatów, rozbierających te sprawy, odczytano na zjeździe 13; z nielicznymi wyjątkami wszystkie nosiły cechę ogólnikowości i pośpiechu. Na wyróżnienie zasługuje referat p. Mioduszewskiego o niższej szkole rolniczej, w którym autor zajął szersze stanowisko; mianowicie rozważał zadania takiej szkoły nie z punktu widzenia interesów stanowych, jako dostarczycielki tanich oficyalistów-fachowców, lecz jako potężny środek do podniesienia dobrobytu, oraz umysłowego i moralnego poziomu ciemnego ludu. Oryginalnym jest pomysł utworzenia przy takich szkółkach (a powinno ich, według p. Miod., być po jednej w każdym powiecie) wzorowych gospodarstw chłopskich, któreby mogły okolicznym włościanom służyć za przykład, jak należy przy danych warunkach gleby i rynku prowadzić racyonalną gospodarkę.

Jedynym praktycznym rezultatem obrad jest opracowanie ustawy przyszłego podolskiego Towarzystwa rolniczego, podpisanej przez wszystkich uczestników zjazdu, która poszła do Najwyższego zatwierdzenia. Projekt statutu opracowany został na podstawie normalnej ustawy takich Towarzystw, z pewnymi jeno dodatkami, jak np. z podziałem na sekcye wzorem kijowskiego Tow. rol. lub urządzeniem filij powiatowych na wzór połtawskiego. Jako miejsce zebrań przyszłego Towarzystwa obrano m. Winnicę, leżącą w środku gubernii i przy kolei.

Co się zaś tyczy innych rozpraw programu, to, wobec oświadczenia przewodniczącego, zarządzającego dobrami skarbowemi gub. Kijowskiej i Podolskiej, Czujkiewicza, że zjazd, jako zgromadzenie chwilowe nie posiada kwalifikacyj prawnych (juridiczeskoje lico) do występowania z praktycznymi uchwałami, postanowiono wszelki zebrany materyał oddać w ręce przyszłego Towarzystwa rolniczego. W materyale tym między innemi znajduje się bardzo szeroko i szczegółowo opracowana ustawa niższej szkoły rolniczej. *St.*

Łódź. Mieszkańcy miasta uskarżają się na brak stacyi bakteryologicznej, w celu rozbioru mięsa i innych produktów. Peryodyczne oglądanie jatek i sklepów, szynków, jadłodajni, dokonywane przez komisye zdrowotne, jeszcze nie zaspokaja całkowicie potrzeb sanitarnych w tej mierze. A przecież miasto posiada kilka laboratoryów chemicznych, przeznaczonych dla celów przemysłowych. Wszakże mogłyby się one zająć badaniem mięsa i wogóle produktów spożywczych, przynajmniej tymczasowo. Podobno dwu chemików miejscowych, jak zapewnia *Kuryer Warsz.*, rozszerza swoje laboratoryum, tj. wciela badania powyższe. — Grupa przedsiębiorców zagranicznych wkrótce się zajmie badaniami pokładów węgla brunatnego w pobliżu Łodzi. W razie pomyślnego przebiegu poszukiwania, spółka niezwłocznie przystąpi do eksploatacyi bogactw ziemnych. — Do szeregu instytucyj dobroczynnych przybędzie wkrótce „Dom sierot parafii ewangelickiej św. Trójcy." Koszty budowy wynoszą przeszło 30,000 rs. Zakład będzie mógł pomieścić najmniej 100 sierot obojej płci, w wieku od lat 4 do 15-tu. Po pobycie przez czas określony w przytułku, chłopcy będą oddawani do terminu, dziewczęta — do obowiązków odpowiednich. Zakład będzie otwarty podobno już za miesiąc. — Sprawa felczerska jest najdotkliwszą bolączką społeczną w Łodzi. Oszuści pootwierawszy zakłady do strzyżenia i golenia, uchodzą śród ludności robotniczej za istotnych felczerów, narażają zdrowie i życie łatwowiernych na niebezpieczeństwo. Jeden z nich postawiwszy choremu bańki, zaraził go przymiotem. Wypadki tego rodzaju nie należą do wyjątkowych.

Kamieniec Podolski. Rolnicy opracowali już i złożyli do zatwierdzenia ministeryum projekt ustawy „Towarzystwa rolniczego i wzajemnej pomocy." Powstaje ono w Kamieńcu i ma na celu ułatwienie rolnikom gub. Podolskiej i Besarabskiej prowadzenia gospodarstwa, oraz zapewnienie im zbytu produktów. Dla osiągnięcia zakreślonego celu Towarzystwo dążyć będzie do: 1) nabywania dla swych członków po możliwie najniższej cenie wszelkich niezbędnych w gospodarstwie produktów pierwszego gatunku: maszyn i narzędzi rolniczych, węgla, żelaza, skór itd.; 2) możliwego zniżenia ubezpieczenia nieruchomości, oraz wyszukiwania dzierżawców, zarządzających majątkami itp. W poczet członków przyjmowane będą osoby płci obojej, poddani rosyjscy, posiadający majątek ziemski, lub też dzierżawiący go. Aby mieć prawo głosu, członek musi posiadać 3 udziały po 100 rs., aby zaś móc uczestniczyć w czynnościach Towarzystwa, powinien złożyć 10 rs. wpisowego i 100 rs. udziału.

Kijów. Postanowiono starać się o wykupienie m. Berdyczowa z funduszów obywateli, według wzoru wykupu prawa propinacyjnego, bez udziału skarbu państwa. Projektodawcy doradzają rozkład udziałów, stosownie do wartości i obszaru gruntu każdego obywatela. Podanie złożono do uznania władzy wyższej. — Marszałek szlachty gub. Kijowskiej i prezes przyszłorocznej wystawy rolniczo-przemysłowej w Kijowie, ks. Repnin, zakupił kilka pawilonów prywatnych w Niższym Nowogrodzie, aby je przewieźć nad Dniepr. Bardzo wielu wystawców z Niższego Nowogrodu zapowiedziało swój udział w wystawie kijowskiej. Okazy i witryny z nad Wołgi mogą już być wprost przywożone nad Dniepr, gdzie zarząd kolei Południowo Zachodnich zatrzyma je przez zimę w swoich składach za bardzo niską opłatą 8 kop. od puda miesięcznie.—W gubernii Kijowskiej znowu, jak przed paru laty, niesłychanie rozmnożyły się myszy i niszczą doszczętnie zboże niewymłócone.

Petersburg. Na posiedzeniu petersburskiego Towarzystwa lekarskiego wzajemnej pomocy w d. 6 ym b. m. rozstrząsaną była sprawa, poruszona jeszcze na wiosnę przez dr. Mendelssohna o reklamie lekarskiej z punktu widzenia etyki korporacyjnej. Na posiedzeniu tem postawiono pytanie, czy należy uważać za reklamę ogłoszenia o przyjeździe z za granicy, o zmianie mieszkania itd. Na pytanie to odpowiedziano przecząco, uznając ogłoszenie dziennikarskie, jako zupełnie właściwą i zgodną z duchem czasu formę porozumiewania się z publicznością. Natomiast jednomyślnie potępiono wszelkie ogłoszenia, mające charakter „nawoływania," a do tej kategoryi zaliczono wiadomości o leczeniu chorób specyalnych i szczególnych, o wypędzaniu solitera, o leczeniu niemocy, o stosowaniu metody Brown-Secquarda itd. Ostatecznie na wniosek d-ra Sztolca postawiono następujące żądania: 1) Wszelkich ogłoszeń z wymienieniem godzin przyjęcia, specyalności (uznanej przez naukę) i adresu przyjmującego lekarza *nie należy* uważać za reklamę i widzieć w tem coś obrażającego honor profesyonalny lekarza. 2) Członkowie petersburskiego Towarzystwa lekarskiego obowiązują się w swych ogłoszeniach dziennikarskich nie wychodzić z ram powyższego wymagania. 3) Towarzystwo postanawia poczynić starania w urzędzie lekarskim, aby to nie pozwalało drukować ogłoszeń, któreby nie czyniły zadość wykazanym punktom. Dwa pierwsze żądania przyjęto jednomyślnie, trzecie — niewielką przewagą głosów. Przeciwnicy oświadczyli, że nie życzą sobie zbytecznej opieki w sprawie etyki profesyonalnej.

O PRAWDĘ.

W nr. 40 *Prawdy* wyczytałem w artykule p. t. „Rachunek publiczny" zarzuty przeciwko mnie skierowane osobiście, w sprawie administracyi zapisu hr. Kickiego.

Ponieważ te zarzuty są albo wprost na fałszywych faktach oparte, albo ogólnikowe, bez żadnych dowodów, a przynoszą ujmę zarówno mnie jak i władzom Towarzystwa osad rolnych i wprowadzają czytelników w błąd, — przeto nie wątpiąc, że Szanowna Redakcya *Prawdy* gotowa jest wyjaśnić prawdę, mam honor prosić o zamieszczenie następnego sprostowania, do którego mam prawo w imię słuszności.

Oto odpowiedź na pojedyńcze punkty zarzutów:

1) Przedewszystkiem wypada objaśnić, że wszystko, co się robi w administracyi zapisu, nie robi się z mojej woli osobistej, lecz na podstawie decyzyi bądź komitetu Towarzystwa, bądź Rady zawiadującej z 5 członków złożonej, przez komitet wybranych, która na posiedzeniach swych wszystkie sprawy i interesy roztrząsa i decyduje. Decyzye te, ze szczegółowemi motywami w protokołach posiedzeń spisywane, służą za podstawę i wskazówkę do działania wykonawczego, które mnie jest poruczone. Zarówno więc pochwały za to, co jest dobrze zrobione, jak i krytyka kierunku ogólnego, nie może się wyłącznie odnosić do mnie.

2) Jest nieprawdą (jak twierdzi bezimienny autor listu, z którego Redakcya *Prawdy* oświadcza, iż poczerpała informacye), że majątek Orłów żadnych, albo małe dawał dochody. W drukowanych za lata ubiegłe sprawozdaniach jest wykazywane, że w latach lepszego urodzaju i wyższych cen zboża przelewano niejednokrotnie z dochodów Orłowa po 5—6 tysięcy rubli gotowizną do funduszów ogólnych zapisu, że wszelkie melioracye, budowle, uporządkowanie majątku tego pokrywano z jego dochodów, a zatem, że musiał dawać dochody, skoro się robiły tak znaczne nakłady.

3) Jest nieprawdą, że za dzierżawę Orłowa dawano 1,000 rs., albowiem nigdy pertraktacyi o wydzierżawienie Orłowa z nikim Towarzystwo nie prowadziło, bo wydzierżawiać Orłowa nigdy nie zamierzało. Uważało to, za nieodpowiednie ze względu na testament hr. Kickiego. Mały tylko folwarczek do dóbr należący, a niedogodnie w znacznem oddaleniu położony, około 300 mórg wogóle mający, został od początku objęcia wydzierżawiony jednemu z obywateli ziemskich, sąsiednich, — początkowo za sumę 1,465 rs., obniżoną następnie na rs. 1,000 rocznie, wobec pogorszonych stosunków rolnych.

4) Drobny i małego zresztą znaczenia fakt, że przy postanowionem przez Radę zawiadującą w r. 1892 częściowem odbudowaniu w ruinie stojącego tak zwanego pałacu, sprowadzono z Sobieszyna dęby jest przekręcony i mylnie przedstawiony. Istotnie, przy dawaniu podłogi zabrakło *8* czy *10* ligarów *suchych* dębowych; ponieważ zaś chodziło o to, żeby grzyba nie wprowadzić do budynku, dając drzewo świeże, a ponieważ wiedziałem, że w Sobieszynie są zbywające suche ligary dębowe, więc poleciłem ich kilka

stamtąd sprowadzić. Przyjmuję za to odpowiedzialność na siebie. Nie sprowadzono jednak jakiejś partyi dębów i nie podnoszono nierozumnie i lekkomyślnie kosztów, jak to z przedstawienia tej bzdurnej okoliczności wydawaćby się musiało.

5) Wcale syna mojego nie „powoływałem" na rządcę w Sobieszynie; przeciwnie, z mojej strony usilnie byłem temu przeciwny, z powodów osobistych, z których nie potrzebuję publicznie się tłómaczyć. Gdy wszakże w lutym r. b. dotychczasowy rządca Sobieszyna p. Domosławski, został zatwierdzony przez ministeryum rolnictwa na dyrektora szkoły rolniczej niższej i musiał *natychmiast* wyjechać do Brzozowej, aby przygotować otwarcie szkoły i gdy Sobieszyn wskutek tego znalazł się nagle bez rządcy, bo w tej porze roku niepodobna było znaleźć wykwalifikowanych kandydatów, bez miejsca będących, zwłaszcza wobec skromnej bardzo pensyi *400* rs. rocznie etatem przeznaczonej, — wtedy na wniosek pana radcy d-ra Tadeusza Kowalskiego, Rada zawiadująca zwróciła się z propozycyą i życzeniem, aby mój syn, który po trzechletniej praktyce rolniczej w kraju i za granicą i po odbyciu dwuletnich studyów w akademii rolniczej w Halle, był właśnie w zamiarze zabrania się do zawodu praktycznego, zechciał się podjąć wakującego obowiązku w Sobieszynie. Ulegając pochlebnemu dla siebie wezwaniu Rady zawiadującej, syn mój przyjął to zobowiązanie, zastrzegając się, że je tylko na pewien niedługi termin może przyjąć, a mianowicie na rok jeden, wobec innych swoich projektów i planów. Nie doradzałem mu tego, byłem wprost przeciwny, bo przewidywałem na jakie przykrości złośliwe może być narażony, na samym początku swego wejścia w życie, — co się też sprawdziło. Posada za 400 rs. nie była chyba bardzo dla niego pociągającą, ale daleko więcej pociągała dobra chęć usunięcia kłopotu, w jakim się chwilowo administracya Towarzystwa znalazła i zadośćuczynienie zaszczytnemu zaufaniu, jakiem poważny skład członków Rady zawiadującej go obdarzył.

6) Mylnem jest doniesienie, że na stacyę doświadczalną w Sobieszynie nie czyniono jednorazowych większych nakładów, a wydzielano „drobinami" skromną tylko kwotę na jej utrzymanie. Na pierwsze urządzenie laboratoryum wydano *6,000* rs. Na roczne koszta utrzymania stacyi komitet Towarzystwa wyznaczył *3,300* rs. w roku 1886, powiększone w ostatnim czasie do *3,780* rs. gotowizną, nie licząc wartości dawanych z majątku naturaliów opału, stołu i utrzymania dla kierownika, dla praktykanta, asystenta, służby itd., co przedstawia przynajmniej wartość w przecięciu koło *1,000* rs. rocznie. Wybudowanie kilku budynków specyalnych na polach próbnych, ogrodzeń, kupno narzędzi, maszyn rolniczych, koni, wołów i zaopatrzenie stacyi w potrzebne pomoce wymagało również jednorazowych poważnych nakładów, które zostały dokonane w czasie właściwym.

7) Zupełnym jest fałszem, jakoby do Sobieszyna przeniesiony był jakiś mój lokaj osobisty z Warszawy, *który pobiera z funduszów zapisu po 25 rs. miesięcznie, czyli 300 rs. rocznie.* Jest w Sobieszynie od kilku lat najzwyczajniejszy służący, nawet nie z Warszawy, ugodzony przez rządcę dawniejszego jeszcze *70* rs. *rocznie* i *16* korcy ordynaryi, który obsługuje dwóch praktykantów rolniczych, asystenta stacyi, praktykanta stacyi, pisarza kawalera, — a w razie zjazdów do Sobieszyna Rady zawiadującej, członków komitetu, różnych delegacyi, lub wrazie mojego przyjazdu, usługuje tym wszystkim, utrzymuje mieszkania i pokoje gościnne w porządku. Chyba taki posługacz jest potrzebny, a przepłacony nie jest.

8) Założenie i urządzenie szkoły rolniczej niższej kosztuje dotąd koło *5,000* rs., nie licząc wartości drzewa miejscowego,. Roczny jej etat utrzymania z funduszów zapisu pokrywać się mający jest *5,500* rs., oprócz dochodów z opłat od uczniów i z gospodarstwa folwarku Brzozowa 260 mórg na użytek szkoły oddanego. Szkoła otwarta jest dopiero od kilku miesięcy. Naturalnie, że niema dzisiaj jeszcze urządzonych gabinetów fizycznych, chemicznych, geologicznych, bibliotek, w takim komplecie, w jakim będą potrzebne później, — że pomoce naukowe są tylko takie, jakie na pierwszy rok okazały się niezbędne. Nieprawdą jest, abym się w tym względzie odwoływał do ofiarności publicznej. Nikt tego nie słyszał, ani nie czytał nigdzie. Wprawdzie, w czasie wizyty pp. dziennikarzy w szkole rolniczej, zarządzający szkołą p. Domosławski, przejęty gorliwością o dobro szkoły, w najlepszej zapewne chęci, zwrócił się od siebie do nich z prośbą prywatną, aby przez swoje wpływy dopomogli do pozyskiwania dla zbiorów szkoły, jakich okazów szczególnych lub przedmiotów nadających się do celów naukowych, gdyby się do tego im nastręczyła sposobność, — ale pomijając, że uczynił to z własnej, a nie z mojej inicyatywy, to mniemam, że nawet taka ofiarność, gdyby się zdarzyła, nie byłaby „zniesławieniem" instytucyi, jak się troskliwy o honor administracyi zapisu Kickiego wyraził autor listu, informującego *Prawdę*. Wszak bogatsze daleko akademie nauk i sztuk pięknych, uniwersytety rządowe, muzea publiczne, otrzymują różne dary i nie uważają tego za *zniesławienie* siebie.

Tyle co musiałem sprostować, odnośnie do zarzutów osobiście mnie czynionych.

Odpieranie zarzutów, uczynionych sprawozdawcom pism, którzy na skutek zaproszenia przez Radę zawiadującą postanowionego, raczyli przyjechać do Orłowa i Sobieszyna, aby obejrzeć stan rzeczy na miejscu i którzy według opinii autora artykułu „Rachunek publiczny" wywiązali się z tego *z niesłychanie haniebnym skutkiem dla naszego dziennikarstwa*, przedstawili *sromotny fakt ulegania prasy względom i względzikom*, odegrali *poniżającą rolę jako narzędzia do pewnych celów*, — odpieranie tego zarzutu do mnie nie należy.

Zaznaczę tylko, iż zaproszenie było rozesłane do *11-u* redakcyj główniejszych czasopism, a między niemi także i do szanownej Redakcyi *Prawdy*. Bardzo żałuję, że redakcya *Prawdy* nie raczyła przyjąć udziału w tym zjeździe, aby się posiłkować własnemi informacyami, zamiast informacyą autora listu, który szarpiąc cudze nazwisko, nie miał nawet odwagi podpisać swojego własnego.

Prof. dr. A. Białecki.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Zygmunt Kaczkowski pozostawił formalny testament w języku francuskim. Główną spadkobierczynią jest żona, p. Pomianowa. Prawo autorskie swoich dzieł tudzież księgozbiór zapisał Towarzystwom historycznym we Lwowie i Paryżu.

— Postanowiono wzmocnić kontrolę techniczną w fabrykach, używających wszelkiego rodzaju motorów i maszyn.

— We Lwowie „Dom pracy," urządzony przez towarzystwo „Opatrzność," umieszczony we własnym gmachu, liczy 72 mężczyzn i 28 kobiet w wieku do lat 80. Są to przeważnie podupadli rękodzielnicy. Zajmują się oni szyciem, praniem, wyrobem pudełek, krochmalu, darciem pierzy itd. Za roboty te pobierają, oprócz utrzymania, po 3—10 centów dziennie.

— *Birż. Wied.* donoszą, iż w r. p. postanowiono wybić sto milionów rubli w monecie złotej, 28 mil. w srebrnej. W Birminghamie zamówiono 800,000 rubli w monecie miedzianej.

— Ogłoszono następujące rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych: Z powodu zamieszczonych w nr. 77 i 79 dziennika *Graždanin* artykułów pod rubrykami: „Piątek 20 września" i „Sobota 28 września," udzielić tej gazecie (wydawcy-redaktorowi, Włodzimierzowi ks. Mieszczerskiemu) trzecie ostrzeżenie, przy zawieszeniu wydawnictwa na jeden miesiąc i zastosowaniu do niego po upływie terminu uwagi do art 144. Ostrzeżenie to jest motywowane naruszeniem przepisów przyzwoitości względem rządów przyjacielskich.

Koleje i komunikacye. *Nowosti* donoszą, iż w listopadzie spodziewane jest zawarcie umowy z Chinami w sprawie przeprowadzenia kolei rosyjskiej przez Mandżuryę.

— Próby dokonane staraniem ministeryum komunikacyi, wykazały, że pociągi mogą bez wielkiego trudu przebiegać po 70 wiorst na godzinę. Szybkość ta ma być wkrótce zastosowana do pociągów kuryerskich, następnie do pośpiesznych itd.

— W zarządach kolei tutejszych wprowadzono etaty dla urzędników piszących na maszynach. W niektórych biurach czynność tę powierzono kobietom.

— Według *Archiv für Eisenbahnwesen* ogólna długość dróg żelaznych na całej ziemi wynosiła, d. 30 grudnia 1894 roku, 687,550 kilometrów, a zatem prawie dwa razy wziętą odległość księżyca od ziemi. Połowa przeszło tej długości, 364,975 *km.* przypada na Amerykę, Europa posiada 245,300, Azya 41,970, Australia 22,202, Afryka 13,103 kilometrów.

— Sieć tramwajów elektrycznych w Europie znacznie się rozwinęła w ciągu dwu lat ostatnich Według *Journal des transports*, liczba linij wykończonych wzrosła do 111, a ogólna ich długość do 902 kilometrów. W rozwoju tego środka komunikacyi miejsce pierwsze zajmują Niemcy, posiadają bowiem 406 kilometrów dróg i 857 powozów; dalej idzie Francya ze 132 kilometrami i 225 powozami, Anglia ze 107 kilometrami i 168 powozami, a Szwajcarya, pomimo szczupłości swego terytoryum, zajmuje miejsce czwarte, długość jej dróg elektrycznych wynosi bowiem 47 kilometrów przy 86 powozach. Z różnych systemów stosowanych najbardziej rozpowszechnionem jest doprowadzanie prądu za pośrednictwem drutów powietrznych (na 91 liniach). Przewodniki podziemne posiadają tylko 3 linie, szyną środkową posługuje się 9 linij, a na 8 liniach używane są akumulatory.

Zdrowie publiczne. O cztery wiorsty od Łodzi, przy szosie pabjanickiej, właściciel wsi Chojny, urządził zakład wodoleczniczy według metody ks. Kneippa. Gmach leczniczy o dwu pawilonach piętrowych, bocznych, przylegających do głównego korpusu 3-piętrowego, urządzony — według zapewnienia korespondenta *Kuryera warszawskiego* — z zastosowaniem najnowszych wymagań leczniczych. Sale, przeznaczone na użytek pacyentów, wysokie obszerne i widne. Na miejscu jest pomoc lekarska, apteka i gabinet do przyjmowania chorych, oraz czytelnia, zaopatrzona w kilkanaście pism, sala jadalna, 64 numery dla pensyonarzów stałych itd. Koszt pobytu rs. 2,50—5 na dobę z całkowitem utrzymaniem i wszelkiemi potrzebami leczniczemi. Zakład oświetlony elektrycznością i połączony z Łodzią telefonem. Przy gmachu powstać ma na 40 morgach park angielski.

— Dr. F. Drecki poczynił bardzo ważne spostrzeżenia o wynikach leczenia błonicy surowicą w pow. Kaliskim. Chorych w ciągu dziesięciu miesięcy było 63, wstrzykiwanie surowicą zrobiono 52, z jedenastu nie leczonych wcale lub bardzo niedokładnie, zmarło siedmioro dzieci (63.6%), z 52-ch, leczonych surowicą — czworo dzieci (7.6%) na ogólną zaś liczbę zachorowań przypada 17.4% śmiertelności. Na 63-ch chorych były dwie kobiety 20—25-letnie, 46 dzieci do trzech lat, 9-ro dzieci do pięciu lat, dwoje po sześć, troje po siedem i jedno osiem lat. Chorobie podlegały tylko dzieci włościańskie, oprócz jednego dziecka właściciela wsi, p. W. Wyganowskiego, który, doznawszy dodatnich skutków surowicy na swojem dziecku, sprowadzał po kilkakroć starszego felczera i ten robił wstrzykiwania chorym na błonicę we wsi miejscowej, leczenie zaś miało wyniki zawsze pomyślne. Rezultaty powyższe doprowadziły d-ra Dreckiego do następującego wniosku: aby wszyscy lekarze powiatowi, miejscy i szpitalni jaknajwięcej rozpowszechniali użycie surowicy przeciwbłonicowej, aby szpryckę do wstrzykiwań podskórnych surowicy posiadał każdy lekarz a nawet i felczer postępowy i aby sama surowica na półkach każdej apteki znajdować się mogła, tembardziej, że cena jej niewysoka (porcya rubla lub półtora), sposób jej użycia łatwy.

Wypadki. Na zachodnich wybrzeżach Peloponezu było silne trzęsienie ziemi.

— Na kolei Władykaukazkiej spotkały się pociągi. Uległo rozbiciu 14 wagonów; są ofiary w ludziach.

— W okolicach Rzymu powódź poczyniła spustoszenia; zerwała mosty kolejowe.

— Parostatek „Olga" spotkał się w nocy około Teodozyi z niewielkim statkiem nabrzeżnym, który zatonął. Ludzi uratowano.

— *Gazeta polska* podaje następującą wiadomość: Podzamcze, jedna z największych wsi, należących do

dóbr Maciejowickich, hr. A. Zamoyskiego, licząca przeszło 1,000 mieszkańców, prawie doszczętnie spłonęła. Zgorzało 150 domów mieszkalnych i 200 zabudowań gospodarskich wraz ze szkołą i kancelaryą gminną. Wszystkie budynki, jak to często daje się widzieć, były połączone z sobą szczytami, tworząc jedną linię. W niecały kwadrans przybyła folwarczna straż ogniowa z Podzamcza, której się należy uznanie za dzielną walkę przeszło 10-godzinną z żywiołem. Dzięki energicznej pomocy, którą kierował zarządzający Podzamczem, p. Jeziorański, kilkanaście domów mieszkalnych wraz z kancelaryą gminną ocalało. Straż maciejowicka kilkakrotne już przynosiła usługi okolicznym mieszkańcom i nawet do oddalonej części dóbr zwykle szybko przybywa ze swemi narzędziami.

— Na linii kolejowej Culoz-Genewa spadła skała i zasypała tor na przestrzeni 400 metrów oraz domek dróżnika. Dziesięć osób zabitych. Powodem katastrofy były długotrwałe deszcze.

Zmarli. Feliks Ehrenfeucht, literat i publicysta, w Warszawie, redaktor *Tygodnika powszechnego* w pierwszej jego fazie.

— Lowy, w Berlinie, radca sprawiedliwości, autor dzieł prawniczych. Zabiło go czterech morderców w jego własnej sypialni.

— Br. Ferdynand v. Muller, w Australii, znany botanik. Napisał sporo dzieł naukowych.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 11 Октября 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.